

**Sudecka
poezja i proza
XXII**

VI Konkurs Literacki

**BIBLIOTHECA
BIELAVIANA**

Sudecka
poezja i proza
XXII



Zdjęcie zatytułowane „Złote lata dwudzieste”, przedstawiające pl. Wolności w latach dwudziestych ubiegłego wieku.

Ta fotografia stała się inspiracją dla autorów wierszy i prozy
z tego tomiku. Jest on pokłosiem
VI Konkursu Literackiego
Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy.

Sudecka

poezja i proza

VI Konkurs Literacki
Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy

**BIBLIOTHECA
BIELAVIANA**

2017

REDAKCJA
dr Rafał Brzeziński
prof. Ryszard Waksmund

KOREKTA
Jadwiga Stępień
Urszula Ubych

SKŁAD I ŁAMANIE
Anna Brzezińska

OPRACOWANIE GRAFICZNE
Paulina Wojciechowska-Cudak

© Copyright by Miejska Biblioteka Publiczna
Bielawa 2017

ISBN 978-83-946674-0-5

**BIBLIOTHECA
BIELAVIANA**

Miejska Biblioteka Publiczna w Bielawie
ul. Piastowska 19c
www.mbp.bielawa.pl
www.bibliothecabelaviana.info
e-mail: bibliothecabelaviana@gmail.com

Poezja

Pewien dzień... Zwykły dzień...

Na placu Wolności każdego dnia rano
spotkasz niejedną osobę rozeźmianą.
Czasem zamyśloną, czasem zasmuconą,
lecz nawet wtedy życiem zachwyconą.
Chłopaki uczniaki często dokazują,
a do fotografii z radością pozują.
Ze szkoły gromadnie do domu wracają,
w centrum mnóstwo osób spotykają.
Bielawski rynek, choć nie w słońcu cały...
Jest taki wspaniały! Wręcz doskonały!
Sklepiki i kramy na nim królują,
a ludzie wszystko chętnie kupują.
Budynki, choć stare, ładnie się prezentują,
uroku dodają, atmosferę miasta budują.
Piękna ta nasza leciwa Bielawa!
I to wcale nie sen, lecz jawa!
Złote lata dwudzieste o wszystko zadbały,
kultury i sztuki wcale się nie bały.
Ludzie jakby spokojniejsi, mniej zapracowani,
zwyczajnym, codziennym życiem są uradowani.
Mają czas na spacer i swoje marzenia,
nic przez to nie tracą, dążą do spełnienia.
Na piękne, harmonijne wygląda ich życie,
ciekawe, czy takim żyją wszyscy skrycie...?

Małgorzata Baranowska

Bielawa kiedyś i dziś

Niewielkie miasteczko, lecz tłoczna ulica,
Po niej mnóstwo ludzi codziennie przemyka.

Są dzieci, co spiesznie do szkoły wędrują,
I panie, co w sukniach wytwornych się snują.

Panowie, co idą do pracy tak licznie,
I ci, którzy wolą zebrania uliczne.

Ulica przez miasto przebiega całutkie,
Omija kościoły i domy malutkie.

Latarnie i strumień, chodniki i sklepy,
Omija pagórki i w dół biegiem leci.

I miasto, choć małe, lecz wielka to sprawa,
Bo piękna, wytworna ta nasza Bielawa

I kiedyś tak samo jak dziś położona –
U stóp górskich szczytów przez lata uśpiona.

Michał Bokota

Ulotne chwile

Plac Wolności tętni życiem
Spotyka się tutaj
Tłum ludzi
Z oddali słychać dzieci gwar
Który ciągle ciągnie je pod wiatr

Tutejsze zaułki
Czasem gorzkie ale dobre kochające
Jak chwile ulotne
Na wietrze

Pod latarenką
Wędrownik przemierza z plecakiem szlak
Przywołując do wspomnień
Tamtych złotych lat

Jakub Bronk

Złote lata dwudzieste

Czy pamięta ktoś te lata,
gdy dzieciaki stały w rządzie?
Stały zawsze obok brata,
wtedy spokój był już wszędzie.
Bardzo stara jest ta data,
żaden człowiek nie żył w pędzie.

Każdy człowiek jakoś chętniej
chodził, witał innych ludzi.
Świat wyglądał jakoś piękniej,
nawet gdy znów ktoś marudził.
Wtedy wszystkim było lepiej,
Plac Wolności podziw budził

Wtedy pod ratuszem miasta
osób wiele się zebrało.
Dzieci była ledwie garstka.
Czasu wszystkim brakowało.
Choć ten opis to namiastka,
wielu ludzi wtedy stało.

Osób wtedy było dużo.
Jedną targnęła emocja,
choćaż zdjęć wielu nużą,
piękna była sytuacja,
bo miasto było jej muzą.
Wtedy tłum krzyknął: „Rewelacja!”

Łukasz Budziszewski

Wiersz o Bielawie

W Bielawie mieszkańcy są bardzo szczęśliwi!
Kto choć raz ją zobaczył, ten się nie dziwi.
W Dieriga fabryce ludzie tu pracują
I piękne tkaniny razem produkują.

Dzięki tej pracy rozkwita nam Bielawa,
Bo tkaniny to nasza chluba i sława!
Po bielawskim rynku ludzie spacerują,
Nawet słonie z cyrku dobrze się tu czują.

Chłopcy radośnie wybiegli ze swej szkoły,
Każdy z nich jest mądry i bardzo wesoły.
Tutaj chcą zapuścić swoje korzenie!
Zostać tu do śmierci – to ich marzenie!

Od tej historii mija wiek cały,
A miasto jest wciąż piękne i pełne chwały.
Choć zachodzą w Bielawie ogromne zmiany,
Kto raz ją zobaczy, jest w niej zakochany!

Ryszard Chereźniak

Bielawska wiosna

Nad Bielawą słońce świeci,
Na dwór wyszła grupka dzieci.
Witają radośnie wiosnę.
Przecież to jest takie proste!
Chmur na niebie nie ma żadnych,
A widoków pełno ładnych,
W tle majaczy kościelna wieża.
Na pewno cały tłum ludzi tam zmierza.
Wszystko rozkwitło – drzewa, krzewy, kwiaty,
Których w ogrodach są pełne rabaty.
Radość płynie ze wszech stron,
Wszystko ma radosny ton.
Każde dziecko jest wesołe,
Odwołano dzisiaj szkołę!

Klaudia Chudzik

Ku wyobraźni

Fotografia, można by rzec, stara jak świat,
choć wiek XIX widnieje tam.

Ogrom budynków, których nie ma już,
czas się ich pozbył, zamienił w gruz.

Lecz nie dla wszystkich w swym czasie były znane,
wtem wspominamy o nich niebywale.

Ich widok swojski budził spokój wśród dusz,
dziś czegoś brak, drżący głos wśród pól.

Mała miścina, lecz historia bogata,
ratusz w swe progi zapraszał przez lata.

I do dziś gości w nim burmistrz wspaniały,
którego zadaniem jest bronić nadanej mu chwały.

Jeszcze głębiej zaglądną w przeszłości dzieje,
dopatrzymy się tkalni solidnej, potężnej.

Skonstruowanej przez przemysłowca niemieckiego,
twórczego i rezolutnego.

Jednak biorąc pod uwagę fakt ten,
że pęd biegnących dni trudno zauważyć.

Tak stało się i tym razem,
czas naszą tkalnię w ratusz przeobraził.

Nieopodal gmach swój rozkłada miejski dom kultury,
w którym zgromadzają się liczne tłumy.

By czcić wielkie wydarzenia,
hołd oddawać bez wytchnienia.

Danymi czasy swe miejsce tu i Żydzi mieli,
w klubie wybudowanym przez hojnych założycieli.
Czas na radość i na smutek w nim konsolidowali,
rozzewniali się i wspierali.

Dalej szpital swą opieką emanował,
bezwładne ciała garnął i pielęgnował.
Jednym życie ofiarował, innym zaś wydzierał,
lecz ostoją był niezłomną, dobrą energią obdzielał.

Fontanna dumnie na agorze trwała,
swym wyglądem do przybywania zachęcała.
Ochłodą w upalne dni służyła,
sygnatura mądrości ją znaczyła.

Wokół budynków, domów i bloków,
śmiertelnicy się zasiedlili.
Kobiety, mężczyźni, zgraja dzieci,
zawsze weseli i niefrasobliwi.

To, o czym w utworze wywód rozprawiam,
teren swój na Dolnym Śląsku posiada.
W koło nurt swój wije rzeka Bielawica,
historię niosąca, ni chwili nie trwająca.

A wszystko to u gór podnóży,
gdzie Bielawa roztacza swe mieszczańskie mury.
Skrzącym, mieniącym blaskiem przyciąga,
tak działa na wyżkach już od setek lat.

Głowić się w bieżącej chwili będą,
nad bielawską potęgą.
Ja rzec na to jedno mogę,
aby w zadumie choć na chwilę pochylić głowę.
Przeżywać wraz ze mną
wdzięczną historię.

Referować o niej z dumą,
jednakże pokornie.

Czas

Sto lat temu

Po miasteczku Bielawą zwanym

Przechadzał się mój pradziadek

Po placu w słońcu skąpanym

Nie był sam

Miał kolegów mnóstwo

Ubranych, jak i on, w czapeczki i spodenki

Niczym młode bóstwo

Chłopcy na święta miejskie chodzili

Plecaki i torby chętnie nosili

Gdy dzwon się odzywał z kościelnej wieży

Na placu Wolności dużo było młodzieży.

Ćwierć wieku minęło i spójrzcie sami

Na słonecznym placu mój dziadek jest z nami

Ma także kolegów i również świętuje

A dzwon niedzielny znów głośno im wtóruje.

Po latach pięćdziesięciu z kolegami tata

Spędza na tym placu swe szkolne lata.

Dzisiaj ja i bracia moi jesteśmy znowu tutaj

INNI, CHOCIAŻ SWOI.

1924

Pod ażurową pajęczyną jasnych chmur
W ciepłych promieniach wiosennego słońca
Stanął bezwiednie uczniaków sznur
Jakby ta chwila miała trwać bez końca

A nieopodal już ciżba się zbiera
Ktoś się przepycha, ktoś wiary nie daje
Niejeden zdumiony swe oczy przeciera
Widząc to, co niewiarygodne się zdaje

Kim jest jegomość w tym fraku śmiesznym
Który nic sobie z gwaru nie robi
Pędzi przed siebie w podskokach uciesznych
A jego oblicze wesołość zdobi

Czemu się cieszy, dlaczego tak gna
Ktoś kręci głową, ktoś patrzy zdziwiony
Czy dobre wieści dla wszystkich ma
Kto żyw spogląda w tę jedną stronę

A rzecz istotna dzieje się wielce
Z niezwykłą nowiną Johannes przybywa
Langenbielau dostała prawa miejskie
Odtąd nasza wieś miastem się nazywa

Plac

Jeden plac
Tłum ludzi i tak wiele historii
Dziś niestety tylko wspomnienie
Wspomnienie ze wspaniałych lat dwudziestych
Dziś już nie jest miejscem spotkań
Miejscem do rozmów i odpoczynku
Dziś już nikt nie przychodzi tam po prostu tak bez celu
Dziś jak dawniej ludzi pełen
Lecz zabieganych i zmęczonych
Którzy biegną i pędzą
I pędzą i biegną
Za czym spytacie
Oni sami nie wiedzą
Gnąją podczas wyścigu biegną ze wszystkich sił
A gdy już padną ze zmęczenia we śnie się pogrążą
Na drugi dzień wstają rozpoczynając kolejny bezcelowy maraton
Dlaczego już nikt nie przysiadzie na ławce nie popatrzy w
przestrzeń
Nie zagłębi się w swych myślach
Dlaczego nikt nie przyjdzie tam z rodziną
Dlaczego dzieci już tam nie chodzą
Co się zmieniło na tym pięknym placu
Że w tak krótkim czasie stał się całkiem innym miejscem

Maria Grabowska

Powiedz mi, wieczności

Wieczność. Powiedz mi, wieczności: Gdzie pędzisz?
Gdzie kończy się twój kres?
Ile jeszcze takich pożółkłych fotografii
przywoła obecność już nieistniejących postaci?
Ile jeszcze takich pożółkłych fotografii
przywoła uśmiechnięte ze zdziwienia oczy?
Ile jeszcze takich pożółkłych fotografii
przysypanych przez szarość
dotknie kawałka historii?
Ile jeszcze takich pożółkłych fotografii
utrzyma przy życiu całe piękno tamtych czasów?
Ile jeszcze takich pożółkłych fotografii
przeniknie swoim istnieniem
i stanie się natchnieniem
dla poety?
Cudowne jest to, że w każdej epoce
znajdzie się ktoś taki.

Bielawa, 31 października 2017 r.

Karta historii

Jest takie miejsce na ziemi,
w którym jest pełno zieleni.
Tym miejscem jestem oczarowana,
gdy oczy otwieram od rana.

Bielawa to miasto w rozkwicie,
ulice i place tętniące życiem.
Solidnie wybrukowany plac Wolności
wita wszystkich przemiłych gości.

Kwaciarki bukiety poukładały,
do kupna których lud zachęcały.
Wonne rezedy stoją na górze,
obok w wazonach przepiękne róże.

Widzę tu kioski z cukrową watą
i pełno dzieci z mamą i tatą.
Małe sklepiki oraz stragany
tłumnie przez ludzi dziś odwiedzane.

Skauci dźwigają ciężkie plecaki,
wszystkie, jak jeden, koloru khaki.
Cel ich wycieczki to Sowie Góry,
idą podziwiać łono natury.

Pewien fotograf zrobił to zdjęcie,
bardzo zachwyca mnie to ujęcie.
Lata dwudzieste są w nim zawarte,
które wypełnią historii kartę.

Amelia Jakubowicz

Piękno złotych wspomnień

Niby zwyczajny rynek i nie brak w nim katarynek...
A wraz z nimi melodii płynie dźwięk, zamknięty w czasie jak muszelka...
A nieopodal gwar tu tegoż miejsca wnet
Łagodzi ciepły szept kataryniarza w szelkach.

Tu piękne damy i panny się przechadzały. Gorącą, pyszną kawę
chętnie kupowały.
Jeszcze do dziś słyhać ich miły śmiech...

I choć sama w to czasem nie wierzę...
Małe urwisy i harcerze figlowali na tym skwerze.
Stragany ze słodkościami i bibelotami skrzętnie tu
panie rozkładały i uśmiechnięte dzieci tym zadowalały.

Wielu to bawi, gawieź to wzrusza, wrzucają grosze do kapelusza
Dla grajka, który pięknie na akordeonie gra...
A moje serce do dzisiaj porusza sceneria ta...

Wystarczyło spędzić tutaj parę chwil, by obraz ten na zawsze w
pamięci mej był.
Warto tu czasem przysiąść na ławce, melodię też sobie zanucić.
Bo jutro przyniesie nowy, piękny dzień, co przyjdzie i ten sam nie
wróci...

Emilia Jankowska

Podziękowanie z przyszłości

Nadeszło kiedyś lato – jedno z wielu
słoneczna beztroska, nadzieja na stałość
że nas nie opuści, na zawsze zostanie...
a Ty, w tej radości, chciałeś je zatrzymać,
utrwalić je w kadrze, pamiątką uczynić
– dla mnie
– dla nich
– na wieczność
W przyszłość posłałeś ich uśmiechy
Niech wiedzą!
Niech pamiętają!

Pokonałeś więc przemijanie,
Wygrałeś z Czasem
Jesteście,
zostaliście,
będziecie
Symbolem Bielawy,
Kroniką przemijania,
Częścią mego Domu.

Tacy odlegli, a tacy bliscy...
Zatrzymałeś dla nas CZAS

Na granicy wieku:
Dziękuję Ci, Nieznany!

Maria Jaworska

Szczęśliwi nieszczęśliwcy

Patrzą nieprzytomnie w dal
Myśląc o niedawno skończonej wojnie,
Chcąc pozbyć się tych wspomnień
Czują w sercach smutek i żal

Dla tych, co odeszli,
Dla cierpiących na suchoty,
Umierających z tęsknoty,
Tych, co zostali

I dziś patrząc na nich
Szukam złota lat dwudziestych,
Które miało być po latach krwistych

Lecz oni tylko udają nieubogich,
Niezrążonych, niezłękniomych, szczęśliwych,
A moje wprawne oko widzi ich prawdziwych.

Bielawa moje miasto

Bielawa to moje miasto.
Teraz jest tu trochę ciasno,
jednak dawniej też tak było,
choć w wiele się zmieniło.
Często z rodzicami rozmawiamy
i dawną Bielawę wspominamy.
Choćby zakład włókienniczy,
gdzie pracowali robotnicy.
Dierigstrasse długa była,
wiele kamienic i sklepów mieściła.
A na łące u podnóża Gór Sowich
pasły się Dieriga krowy.
Teraz zalew „Sudety” tutaj mamy,
gdzie latem miło czas spędzamy.
Przy Wolności willa Rossenbergerów
swym pięknem zachwycała,
poniżej kościół katolicki
i parafia całkiem niemała.
Lecz najdłuższa – Mittelstrasse
główną z ulic była:
Willi kupca Wolffa, cukiernia „Ring Kaffe”
i szkoła katolicka się tu mieściła.
Gdy do placu Wolności myślami się zblizamy,
to widzimy Adler-Apotheke,
którą po dzień dzisiejszy mamy.
Kiedyś Bielawa zupełnie inaczej wyglądała,
ale swym urokiem tak samo jak dzisiaj zachwycała.

Szymon Kuriata

Na rynku

Dziś na rynku wielkie święto,
Dziś na rynku wielka sprawa.
Tutaj dzieje się historia,
Tutaj staje się Bielawa.
To już nie wieś, ale miasto,
W pełni rozkwit i dostatek.
Nasze miasto się rozwija,
Tutaj przyjeżdżają ludzie.
Kwitnie przemysł, rośnie w siłę,
Mamy wszystko, czego trzeba.
Tutaj uśmiechnięci starsi, młodszy,
Tutaj chce się żyć, pracować,
W złotych latach rozkoszować.
Złote lata, złote czasy,
Złote chwile dla nas wszystkich.
Gwar na rynku nie ustaje,
Tętni życiem nieprzerwanie.
Cieszy tutaj każda chwila,
Miasto nasze naszą dumą.
Dziś na rynku wielkie święto,
Dziś na rynku wielka sprawa.

Julia Kurzawa

My, chłopcy

Stoimy...

wpatrzeni w oko aparatu.

Stoimy...

Jak przy rozstrzelaniu,

Wypatrując naboju,

Pędzącego w nasze serca.

Uśmiechamy się...

Lecz do śmiechu nam nie jest,

to choć przez ułamek sekundy chcemy udawać szczęśliwych.

Uśmiechamy się...

oszukując samych siebie i przyszłe pokolenie.

Jesteśmy.

Jak namalowani.

Makabrą przybraną stoickim spokojem.

Tak zapamiętani.

Sielanką udawaną,

Ogłuchłym poetą, ślepym malarzem.

Tylko fotografią.

Bez myśli,

Bez marzeń.

Wspomnienie

Na strychu w starej szafie znalazłem fotografię,
trochę dziwna, trochę ciemna, widać przedwojenna.
Widzę na niej rynek mojego miasta Bielawy
I chłopców ruszających do wspólnej zabawy.
To zdjęcie jest niesamowitym przeżyciem,
bo związane jest pewnie także z moim życiem.
Może to mój krewny i jego przyjaciele,
którzy w swoim życiu przeżyli bardzo wiele.
Już na zdjęciu widać, że to bojownicy,
oni w czasie wojny bronili stolicy.
To przyszli żołnierze, nasi bohaterzy,
kto o nich nie słyszał, niech tylko uwierzy.
Gdy spytałem dziadka o tę fotografię,
spłynęła mu łza po policzku, zdjęcie schował w szafie.
Zachowam na pamiątkę tę historię życia,
dla przyszłych pokoleń, również do odkrycia.
Dziś odkrywam piękno Bielawy na nowo,
Jest tu nowocześnie i kolorowo.
Symbolem mego miasta została mądra sowa,
jej pomnik stoi w centrum i jest wyjątkowa.
Gdy zamykam oczy, widzę fotografię,
Tę samą ze strychu, schowaną w szafie.

Agnieszka Letniowska

Bielawa jakiej już nie ma...

Stara fotografia, uchwycona chwila –
Mały fragment życia, niczym lot motyla.
Zrobiono ją dawno i jest czarno-biała,
Po tragicznej wojnie światowej powstała.

Gdy umilkły działa, skończył się czas krwawy,
Spokój znów powrócił do małej Bielawy.
By pamiętać o tych, co życie oddali,
Bielawianie pomnik wielki zbudowali.
Posąg dumnie stanął na Placu Wolności,
Lecz jednak na zdjęciu obelisk nie gości.

Lotem błyskawicy wzrastała wioseczka,
Bardzo zabiegała o rangę miasteczka.
I w dwudziestym czwartym kres historii wiejskiej –
Bielawa zyskała wreszcie prawa miejskie.

Od tego momentu wiele się zadziało –
Nowoczesne kino w Bielawie powstało,
Pierwsze autobusy potem wyjechały,
Nowe wodociągi wodę dostarczały,

Zaś na szczycie Góry Herrleinbergiem zwanej
Zbudowano wieżę z piękną panoramą.
Kwitła turystyka, sport i rekreacja.
W parku powstał basen – ogromna atrakcja.

A licznych turystów w góry przewoziła
Kolej Sowiogórska, co magnesem była,

Bo z okien wagonów widok dech zapierał,
Chociaż komfort jazdy czasami doskwierał.

Rozwijał się przemysł – co pół kroku prawie
Słysząc było krosna w miasteczku Bielawie.

Wreszcie nowy pomysł zaistniał genialny:
Zbudujmy fontannę tam gdzie plac centralny.
I choć koncept świetny w głowach ludzi ożył,
Na nim czarny orzeł cieniem się położył...
Krzykliwy Austriak rozniecił pożogę,
Przyniósł bielawianom, zniszczenie i trwogę

Nigdy nie powróci świat z początku wieku –
To wielka przestroga: „Ocknij się, człowieku...”

Nieznajomi

Nie szukaj twarzy znajomych –
To obraz czasów dawno minionych.
Ale ciekawość tym zdjęciem wzrasta,
Bo to historia mojego miasta.
Bielawa... niewielkie miasto wśród pól
U podnóża Sowich Gór.
Jakie wydarzenie sprawiło,
Że na ulicy tak się zaludniło?
Dzisiaj tutaj handel się toczy.
Ludzie wypatrują ciekawych rzeczy.
Tu leżą książki przez kogoś przeczytane,
Dalej parasole i buty używane.
Jest też wata cukrowa na patyku,
Dzieci dostały po lukrowanym pierniku.
Ale nie znajdziesz znajomej twarzy,
Nie dowiesz się, o czym ten chłopiec marzy.
Te twarze zdają się mówić: „Nie spotkasz nas.
Nasze sprawy zatarł czas”.

Maria Maciejewska

(Nie) Zdążyć?

Chłopcy z tornistrami,
Gdzież idą, czy się spieszą?
Kobiety z tobołami,
Cóż robią, z czego się cieszą?

Jakiż natłok problemów,
Ludzkiego gawędzenia.
Jak wiele uśmiechów,
Tak dużo mówienia.

Każdy chciałby nadążyć,
Wiedzieć, co się dzieje.
Wszyscy chcieliby zdążyć.
Dokąd? Tego nikt nie wie.

Bo choć czasu niemało,
Aby móc się nacieszyć,
Ile jeszcze zostało?
Aby wszystko przeżyć...

Alina Małaszek

Chłopcy

Ja, ty, on i czterej inni
W kadrze zatrzymani – tak pięknie dziecinni.
Stoimy już tyle lat – niby nic się nie zmieniło.
A zmienił się cały świat.
Chwila zaklęta w czasoprzestrzeni,
której już nic nie zmieni.
A oni dalej stoją,
nawet czasu się nie boją!!!
Na rynku w Bielawie – na chwilę zatrzymani
stoimy
razem z nimi
na chwilę zadumani.

Aleksandra Matejczuk

Sens życia

Niektórzy ludzie mówią, że zdjęcia czarno-białe mają duszę,
zgadzam się z tym, jednak czy są to tylko zdjęcia z duszą?

Zamknięta w obiektywie aparatu scena,
scena życia.

Czyjaś historia zapisana,
zapisana jednym ruchem.

Chwila,
chwila niczym wieczność.
Przeszłość,
przeszłość lustrem nas i dnia dzisiejszego.

Myślisz „zwykłe” zdjęcia –
to twoja opinia,
ja widzę coś innego –
Niesamowitego!

Na małym obrazku widać tak wiele:
Bielawę, Ludzi;
Historię i Życie.

Katarzyna Mazur

Proszę, zamknij oczy, a ja Ci wszystko opowiem.
Poranek. Miasteczko jak każde inne.
Dzień targowy, dzień słoneczny.
Tłumy na ulicach.
Uśmiechnięte twarze ludzi.

Ciekawe, dokąd idą?
Pani z wózkiem,
Pan z rowerem.
No i tamta para staruszków.

Domy wplecione w krajobraz drzew.
Jednak tych drugich jest dużo więcej.
Są dostojne, wysokie, bardzo wysokie.

Przechodnie stoją, idą,
oglądają wystawy, stragany.
Rozmawiają, pokazują coś.
Kupują lub po prostu patrzą.

Ciekawy widok, jakby codzienny.
A jednak różni się od dnia wczorajszego.
Bo to dzisiaj ja idę z kolegami tą ulicą.
Wracamy z wycieczki.
To ja, Franek, ten trzeci od lewej.

Magia zdjęć

- Posuń się, Stasiu, ... zrób więcej miejsca!
 - To moja poza jest najpiękniejsza!
 - Franek coś właśnie na murze bazgrze!
 - Dawaj, kolego - też będziesz w kadrze!
-
- Cóż to za sprzęty, lampy, statywy?
 - Nasz nauczyciel ledwie już żywy!
- Bo to zdarzenie sławne jest prawie
- Aparat do zdjęć ... na Rynku w Bielawie!

Na czas festynu tłumnie przybyli
Mieszkańcy miasta i całej gminy,
Uczniowie klasy męskiej i żeńskiej,
Są też strażacy i jest orkiestra!

Śmiech towarzyszy wesołym chórkom,
Stoją stragany, te z „pańską skórką”.
Ale największa tutaj afera:
Robiąca zdjęcia foto-kamera!

Ten wynalazek budził zachwyty,
Fotograf także był znakomity!
Uchwycił radość w swym obiektywie
I piękno miejsca - to nie przeminie!
Pstryknęła migawka. Lata minęły... godziny...
A ja - myślę o historii mojej rodziny:
Losów zawiłych przedziwnym trafem
Mój Dziadek Tadeusz - był fotografem.

Przepiękne zdjęcia Babcia robiła
I ta historia ciągle jest żywa.
Fotografuje mój Wujek, Tato...
Przeszłość poznamy dzięki nim – fotografom!

Maciej Henryk Modzelewski

Plac Wolności w Bielawie. Historie zatrzymane

Zdjęcie wypadło z książki ze zbrązowiałymi kartkami.

Mali chłopcy
w eleganckich szkolnych mundurkach,
słomkowe kapelusze dodają im powagi. Niosą teczki
wypełnione książkami. Marzenia kryją się w ich oczach niebieskich,
piwnych
lub zielonych – czasami z filuternymi iskierkami,
czasami pociemniałymi nagłym młodzieńczym gniewem.

Ukryły się piegi i pąsy na dziecięcych obliczach.

Oglądają ten świat okna błyszczące szybami,
wypucowane delikatnymi szmatkami,
żeby ich przypadkiem nie porysować! Zatrzymują obrazy – radości
i smutki,
wklejają się niczym witraże.

Szeleszczą sukniami kobiety – domyślam się kolorów i faktury
tkanin.
Kreską rysują się utrefione włosy – niesforne kosmyki łaskoczą
policzki,
trzeba dyskretnie uporządkować je palcami.
Zapach rumianku drży między tkankami upitego tlenem powietrza.

Gwary rozmów głaszczą spokój tego miejsca pełnego ludzi,
pieszczą je uśmiechy,
dystyngowane postukiwania lasek i obcasów kobiecych bucików.

Bujna zieleń wylewa się latem – błękit nieba okryły szarością –
„zawiniła” niedoskonała technika – niech nie obrazi się Oskar Barnack
– jeśli
to zdjęcie fotograf zrobił Ur-Leicą.

Spieszą się gdzieś ci ludzie?
Niekoniecznie.
Jakby fotograf skupił całą ich uwagę.
Wpatrują się w niego ciekawie.
Jeszcze nie wiedzą, że w tym momencie dostąpią nieśmiertelności.

Wiatr szura napiętą materią markiz i parasoli,
snuje opowieści, kołysze liście,
paple latarni ploteczki,
patynuje ciszę.
Pewnie też nie wie, że tworzy historię,
że jego podmuch na stulecia utrwali fałdę sukni młodej kobiety.

Przechadzam się po placu Wolności, wdycham powietrze
z zapachem tamtych dni – naftalina się unosi i lawenda,
rysują historie zapisane przeżyciami.
Dotykam kory drzew jak sto lat temu ktoś inny – mamy podobne
pragnienia:
po prostu chcemy być szczęśliwi.

Czy ci ludzie przewidzieli,
że bielawianie biznes mają w naturze?

Zuzanna Oboza

Moje miasteczko

Idę na rynek mego miasta pełnego uroku, spacerujących ludzi.
Widzę niebo rozmydlonych, błękitnych chmur.
Widzę uśmiechnięte dzieci, budynki, uroczą fontannę.
Słyszę rozmowę w oddali.
To małe miasteczko, które wciąż skrywa swe tajemnice.
Gdy już nie ma nikogo, ludzie chowają się w domach,
Wtedy myślę, by przyjść ponownie na rynek,
Popatrzeć w piękne kamienic okna, by wraz z przyjaciółmi usiąść
obok fontanny.
Ja wiem, że to wspaniałe miasto przyciąga do siebie swym urokiem i
magią.
Bo to moje piękne, kochane miasteczko.

Krzysztof Pasek

Stara fotografia

Trzymam w dłoniach
starą fotografię
opuszki palców wyczuwają
mrowienie
niespokojny wzrok powoli osiada na niezmiennych od lat fasadach
placu Wolności
jest dobrze
tylko te złote lata dwudzieste
historia uczy nie ufać
nie wszystko złoto co świeci
w tornistrach i głowach tyle jeszcze miejsca
brukowanie umysłów
gromadzi tłumy na lata
dwadzieścia
to tyle by wychować syna
potem krzyżyk
i w drogę
na placach wolności
bawcie się synkowie
i niech wam
stare fotografie
na mądre pozółkłe jesienie

Irena Piekarz

Przymykam oczy,
wracam w odległe czasy
(mówią: czas to pieniądz – może mają rację)
nic nie osiągnąłem, nie dorobiłem się niczego,
jestem starym człowiekiem,
młodość pozostała na fotografii,
uporządkowanej jak obraz
Bernarda Bellotta.
Czasem miło wkroczyć
w zaprzeszłe światy,
piękne w swoim wyrazie
jak dawny bielawski plac Wolności,
bez chęci powrotu
w nie zawsze kolorową
rzeczywistość.

Bielawskie latarnie

Całymi dniami drzemią,
niezmiennie trwając pomiędzy
ziemią a niebem. Górują
ponad drzewami i głowami przechodniów,
by wieczorem rozbłysnąć, rozlać złotawe
plamy, w których dłużą się cienie.

Śnią się im ptasie klucze,
wszystkie pory roku i nocne wędrówki
kotów.

Nie rozumieją czasu i nie pojmują zmian.
Nie zgadują pośpiechu
ni dziecięcych rozterek chłopców
pilnie śpieszących z tornistrami do szkoły.

Nie dziwi ich płacz niemowląt,
krzyk, cichutkie westchnienie
ani nawet mężczyzna w czarnym
kapeluszu, robiący fotografię w pogodny,
październikowy ranek.

Placem Wolności frunie
wiatr – pomiesza złotawy kurz, dmuchnie
w liść pokruszony, lecz nie obudzi ich światła.

Skazane na rozjaśnianie
mroku, na nocne stróżowanie, trwając
pomiędzy świtem a nocą,
bielawskie latarnie drzemią
za dnia...

Bielawski rynek

Pamiętam, jak to było,
Mimo że upłynęło tyle lat...
Pamiętam, jak wtedy wyglądał rynek,
Choć minęło tyle lat...

Mamy prowadziły swoje dzieci za ręce,
Saksofonista zapraszał do tańca i śpiewu,
Przechodnie rzucali monety w podzięce.
Pan z watą cukrową czekał na spragnione słodczy dzieci
i z waty chmurki tkął, by każdy je dla siebie miał.

Wszystko to pamiętam
Mimo tylu lat...
Nawet kiedy wokoło szumiał i hulał wiatr,
Rynek smutny nie był,
bo pieścił go podmuchami wiatr.

Pamiętam bielawski rynek
ze złotych dwudziestych lat.
Ja – pomnik sowy z fontanny,
która patrzy przed siebie
i wspomina tamten ciekawy świat.

Bielawska sielanka

Bielawa to nasze miasto ukochane,
które od setek lat jest zamieszkane.
Prawie wiek już minął, gdy fotograf zmienacka
pstryknął zdjęcie, a na nim:
kilku chłopców, pan i pani, jakiś tłumek w oddali,
po prostu „bielawska sielanka”.
I gdyby dzisiaj przyszedł czarodziej i różdżką chciał zmienić
wszystko,
to co by zmienił?
Pewnie te wieżowce – to blokowisko.
Może kilka szczegółików, może dodałby więcej zieleni,
może pędzące samochody, ale nas, bielawian, by nie zmienił.
Bo jakie ma znaczenie, czy sto lat temu ta fotka przedstawia sied-
miu urwisów,
których fotograf spotkał,
gwarantuję Wam, kochani, że siedmiu takich w mojej klasie prze-
szkadza Pani.
Bo różnimy się tylko ubiorem, językiem i stylem, ale łączy nas
najważniejsze:
bycie bielawianinem!
Proponuję więc, moi drodzy, za trzy lata z okładem,
wykonać fotkę, w rynku i nazwać ją...?
To już będzie zagadka,
bo może ktoś za sto lat nas określi inaczej niż: „Bielawska sielanka”.

Magdalena Rewicka

Złote lata

centrum Placu Wolności
gromadzi się wiele osobowości
bez przeznaczenia bez miłości
wciąż szukający swojej radości

w oddali ratuszowy zegar
odmierza czas
który wspomnieniami
przywołuje nas do tych
pięknych złotych lat

Karolina Rochna

Stare zdjęcie Bielawy
Chce mi opowiedzieć historię swą
Domy przetrwały i stoją do dziś.
Drzew było więcej niż dziś.
Zamiast fontanny potok jest.
Ludzi po pracy dużo jest.
Dzieci po szkole już są.
I na zdjęciu też są.
Handlarze towar wystawili też.
Panie w sukniach spacerują też.
Opowiedziało mi historię swą
Stare zdjęcie Bielawy.

Dawna Bielawa

Bielawa – miasto u Gór Sowich usytuowane,
Za bramę do tych gór może być uznane.
Z języka niemieckiego Langebielau – Bielawa nazwana,
bo wzdłuż pięciu długich ulic jest zabudowana.
Od ulicy Dzierżoniewskiej, Wolności
po centrum: plac Wolności,
a dalej Piastowska, Waryńskiego i Nowobielawska
i tu pod lasem już koniec miasta.
Na placu Wolności Urząd Miasta, sklepy i parkany
A także pomnik sowy, symbol miasta dobrze znany.
Przez plac Wolności dzieci ze szkoły wracali
a po drodze różne zabawy wymyślały.
W roku 1924 Bielawa prawa miejskie uzyskała,
dzięki temu w poczet miast dolnośląskich się wpisała.
Gdy Bielawa z osady do rangi miasta awansowała,
to miejscowa społeczność na tym dużo zyskała.
W tym czasie lampy gazowe na ulicach zamontowano
oraz chodniki i drogi wybrukowano.
Powstały nowe zakłady pracy, punkty usługowe,
szkoły i kluby sportowe.
W tych latach dwudziestych w Bielawie karczem i gospód było wiele,
gdzie często po pracy spotykali się przyjaciele.
Piękne to były lata, dziś zostało tylko wspomnienie.
Szkoda, że w tym czasie nie żyło nasze pokolenie

Szymon Sobczyński

Pod okiem sowy

Tłumy się zbierają
Pod sowy okiem,
Otwierają sklepy!
Z jabłkami, prasą, sokiem...

Kolejki bardzo długie...
Każdy chce coś kupić.
A obok idą chłopcy,
Chcą do domu wrócić.

Wrzawa, hałas, zawierucha!
Chłopcy uszy zatykają.
I przez tłumy ludzi
Szybkim tempem przemykają.

Nikt nie słyszy swoich myśli,
Wszyscy towar reklamują!
No, a chłopcy idą dalej
I się temu przysłuchują:

„Owoce świeże!”, „Marchew, buraki”,
„Z ostatniej chwili!”, „Czekolada! „Różne smaki!”.

A te chłopaki, takie łobuzy,
Że, gdyby chcieli, ukradliby arbuzy.
Ale że ciężko byłoby je nieść,
Ukradli więc jabłka, w domu będą jeść.

Tak tu kiedyś było.
Niegdyś tak się żyło.
Sowy się spytajcie,
Na nasz rynek gnajcie.

Paweł Sowa

Bielawska sowa

Chodź na spacer ze mną, synku,
bardzo ładnie jest na rynku...
Jest tam pomnik – taka sowa,
niesłuchanie odlotowa.
Sowa stoi tu od dawna,
to „królowna” jest bielawna.
Wokół niej się wiele dzieje,
ludzi ciągle przy niej wiele.
Każdy zerka na nią okiem
i zachwyca się urokiem.
Bo to symbol jest Bielawy,
rynek z nią jest przeciekawy.
Marsze, wiece i zabawy,
dzieci, starsi, dziadek, babcia.
Każdy chętnie tu pomyka,
no bo tu jest serce miasta.
Oby wiecznie tutaj stała
i na wszystko oko miała.

Wspomnienie

Siedzę sobie w rynku na ławie
w moim mieście – w rodzinnej Bielawie.
W drżącej ręce trzymam stuletnie zdjęcie.
Na nim w rynku stoją koledzy i ja na zakręcie.

To tutaj po lekcjach zawsze się spotykaliśmy.
Każdy kąt i stragan odwiedzić musieliśmy.
Do dziś pamiętam, jak wesoło było,
jak spokojnie i miło w Bielawie się żyło.

Do szkoły w mundurkach chodziliśmy,
a książki w skórzanych teczkach nosiliśmy.
Nie trapiła nas zazdrość, pycha i kompleks niższości,
bo wyglądaliśmy wszyscy jednakowo, bez żadnych wyniosłości.

Miasto prezentowało się uroczco i dostojnie,
nikogo nie dziwiły wozy zaprzęgnięte w konie.
Panowie w garniturach obowiązkowo wychodzili z domu,
Panie bez długich sukien nie pokazywały się nikomu.

Patrzę wstecz i żal serce ściska:
100 lat upłynęło jak jedna łezka.
Zamykam oczy i widzę rynek ludźmi wypełniony.
Zamykam uszy i słyszę gwar i śmiech upragniony.

A dziś? Co się stało z nami?
Bielawski rynek pusty jest całymi dniami.
Życie zamarło i głucha cisza otacza miasto,
któs przykucnie na ławce, ale niezbyt często.

Życie dla każdego jest przecież wspaniałe,
tyle że nic nam nie jest dane na stałe.
Życie jednych się kończy, a drugich zaczyna,
a Bielawa była, jest i będzie jedyna.

Amelia Ubych

Bielawskie dzieci

Bielawa nasza to piękna kraina,
Beztraskie życie dzieciom w niej płynie.
Miejsc do zabawy mamy tu wiele
I nie jest to chyba żadna nowina.

Bielawa teraz jest już miastem,
Gdyż prawa miejskie jej już nadano.
Mamy tu szosę i jest gimnazjum,
Pocztę, aptekę oraz kościoły.

Domy są z cegły oraz z kamieni,
I elektryczność jest nowoczesna.
Koleją można wyruszyć w podróż,
Parowóz na stacji – to jest atrakcja!

Kochamy to miejsce i mimo przestrogi
W potoku chętnie moczymy nogi.
Na szczęście szpital mamy też w mieście,
W razie potrzeby zdrowie przyniesie.

Nasi rodzice ciężko pracują,
w fabryce tkackiej albo na roli.
Niekтары w rzeźni, inni w gazowni
Uczciwie pracę swą wykonują.

A my rodziców w pracy wspieramy,
Zbieramy drewno, grzyby, jagody.
I w polu czasem pomoc niesiemy,
Jednak najchętniej odpoczywamy.

Bielawa to miejsce jest nowoczesne,
Chętnie chwalimy się miastem naszym.
Mamy kawiarnię na Górze Parkowej,
I widok wspaniały z wieży widokowej.

Bez względu na lata i upływ czasu
Dzieci są zawsze szczerze, beztroskie.
Wychować się w miejscu zwanym Bielawą
To dla nas zaszczyt i duma właśnie.

Rynek w Bielawie

Na rynku w Bielawie,
Tłum ludzi spędza czas ciekawie.
Stragan stoi przy straganie,
I oferuje pyszne danie.
Chłopcy dumni ze szkoły wracają
I do wspólnego zdjęcia się ustawiają.
Jeden drugiego swym uśmiechem darzy
I o wspaniałej przyszłości dla siebie marzy.
Na rynku w Bielawie tętni życie wkoło
I wszystkim razem płynie czas wesoło.
Każdy z osobna znajdzie tu wiele ciekawego
I może zakupi coś niezwykłego.
Bo tutaj we wszystkim tkwi kropla historii –
Wystarczy, że ktoś spojrzy i zaraz o czymś wspomni.
Z kostki brukowej wyrasta latarnia,
A obok stoi bielawska kawiarnia.
Rynek w Bielawie wszystkich wita przyjaźnie,
A skoczna muzyka rozbrzmiewa i rozwija wyobraźnię.
Każdy z tych ludzi jest szczerze poruszony,
I kiedyś chciałby powrócić w te piękne strony.
Lata dwudzieste to złote były lata,
Bielawę zdobiła zieleni szata.
Miasto pięknie rosło,
Kwitło też rzemiosło.
Ludzie się bawili i w przyjaźni żyli.

Na bielawskim rynku

Przystań.
Weź wdech.
Zamknij oczy.
Wyobraź sobie miejsce tak dobrze Ci znane:
Twoje rodzinne miasto – Bielawę.

Pomyśl o ludziach, którzy wiek temu z tymi samymi problemami
i zmartwieniami na głowie krążyli po tych samych ulicach.
Pomyśl o dzieciach, które tak beztrudnie w ciepłe popołudnie wracały
ze szkoły, mijając tak dobrze znane Ci miejsca.
Pomyśl, że 100 lat temu strudzeni przechodnie odpoczywali przy tej
samej fontannie.
Pomyśl, ile par butów szlifowało kostkę na rynku.
Pomyśl, ile historii widziała sowa na fontannie, czuwająca nad swoimi
mieszkańcami.

Przystań.
Weź wdech.
Zamknij oczy.
Mimo że minęło tyle lat,
życie tak bardzo się zmieniło,
ludzie pozostali tacy sami,
tak samo w Bielawie zakochani.

Julia Wąsowicz

Ośmiu chłopców tu, na rynku, chce dziś iść do szkoły.
A wśród nich jest jeden taki śmiały i wesoły.
Piotr, bo tak mu jest na imię, nie boi się niczego.
Ani linijek, ani grochu, ani starszych od niego.
Piotrek w życiu przeżył wiele, więcej niż jego przyjaciele.
Jego koledzy zawsze czekają na niego w niewiedzy.
Nie mają pojęcia, że ich przyjaciel wstaje o świcie i idzie na spacer.
Czasem pójdzie do kościoła, czasem do fontanny z sową.
Nieważne, gdzie będzie, ważne jest tylko, aby mieć niebo nad głową.
Gdy siedzi sobie pod fontanną, często obserwuje ptaki.
Tu coś przeleci, tu coś zaśpiewa, a tam napotka szpaki.
Wie, że gdy na rynku kobiet wiele, to gdzieś wyprzedają nowe pościele.
Takie Piotr ma życie, beztroskie i radosne.
Chociaż ma jeden poważny problem, który go zawsze trudzi:
Nie wie, jak precyzyjnie się do szkoły przez tłum bielawskich ludzi.

Oliwia Wodzińska

Sielankowy nastrój

Niecodzienny widok,
Sen, wspomnienie i fantazja...
Chłopcy inaczej niż zwykle ubrani,
W czarne mundurki przybrani.

Dziewczynki zaś odziane w białe fartuszki,
Trzymają w swych dłoniach świeże kwiatuszki.
A damy?... W długich sukniach rynek ozdabiają,
Ich piękne kapelusze niebo rozświetlają...
Niczym księżniczki z dawnych lat, omawiają tematy swoich spraw.

Z dala słyhać dzieci gwar...
Pan pospiesznie rower pcha.
Znajomy widok, a miejsce cudowne,
Choć dawno odkryte, to nadal modne.

Ciekawe miejsce... Czy ktoś je poznaje?
Oglądam to we śnie czy też na jawie?
Tętniący życiem i niezwykłym pięknem
Przedwojenny rynek w Bielawie.

Stanisław Wojnar

Przejrzeć czas...

Cóż z lat tamtych przetrwało na owej przestrzeni?
Poza brukiem, co jezdnie tak jak dawniej kryje,
Zabudowa w głębi swoim życiem żyje,
Bo czas ją w niewielki jeno sposób zmienił.

Lecz zmienił się charakter cały miejsca tego,
Bo z odnogi arterii, jaka tu istniała,
Otwarta płaszczyzna dla Miasta powstała,
Przejmując charakter placu centralnego.

Może w pierwszym planie stojący to czują,
Że zmiany olbrzymie czas tu zaprowadzi,
I spojrzeniem szczerym w przestrzeń się wpatrują
Jakby temu, co będzie – już dziś byli radzi...?

Bo dzieci najszybciej nowe akceptują
I z reguły w tym nowym – niezgorzej się czują...

Bielawa, 22 września 2017 r.

Jakub Wróbel

Złote lata Bielawy...

Jaka piękna jest Bielawa:
tyle domów, tyle ludzi!
Czy przed laty, czy obecnie
wielki podziw wciąż w nas budzi.

W szczególności plac Wolności,
gdzie w fontannie sowa mieszka,
jest to centrum tego placu,
znam go ja i mama Grzeška.

Zna go babcia moja dobrze,
i mój wujek Krzyś – ten, z którym
często chodzę tam na spacer,
by podziwiać Dom Kultury.

Wiele osób tam bywało:
starsi, młodzież, niemowlęta,
było pewnie bardzo miło,
grała też orkiestra dęta.

Jestem święcie przekonany,
że te wszystkie pokolenia,
pamiętają złote czasy,
złote mają też wspomnienia.

Złote? – tak mi się wydaje,
ten wiersz przecież jest ciekawy.
Będę go wspominał długo
i czas złotych lat Bielawy.

Bielawa, ach, Bielawa!
Jak dawno to było!
Ile ludzi na rynku do zdjęcia się stawiło!
Jest matka z dzieckiem, pan z rowerem
I siedmiu chłopców, a na ich głowach beret.
W oddali widać dziewczęta stojące,
Jakby na coś czekające.
Jarmark, ludzie stoją, niektórzy kupują,
Pewnie o ceny się targują.
Taki spokój, bez aut codziennego zgiełku,
Bo to lata dwudzieste poprzedniego wieku.

Proza

Marktplatz

Otwieram oczy i widzę zdjęcie. Starą, czarno-białą fotografię z początku ubiegłego wieku. Kartonik pachnie starym pudełkiem po butach i niemieckim kurzem. Wyczuwam coś jeszcze, ale nie potrafię tego nazwać. Nie jestem dobry w odgadywaniu zapachów. Od samego siedzenia w tej zapyłonej klitce kręci mnie w nosie. O pięknych spojówkach nawet nie wspomnę. Marznę. Szpary w nieszczelnych framugach zasłonięto jakimiś kocami zwiniętymi w rulon, ale to w sumie niewiele pomogło. Wiatr szarpie okiennicami, a ja cały czas zastanawiam się, jak wrócę do domu. Dlaczego na prowincji wszędzie musi być daleko? Żarówka byczy mi nad uchem i co jakiś czas przygasa, jakby mrugała załzawionym od kurzu okiem. Jest stara i kapryśna, podobnie jak miejscowa bibliotekarka. Słyszę jak pochrząkuje w kanciapie obok, jak tłucze metalową łyżeczką o brzegi szklanki i jak siorbie tę swoją czarną herbatę, do której wcześniej wsypała trzy i pół łyżeczki cukru. Liczyłem razem z nią. Ciągle się rozpraszam. Przysuwam się bliżej biurka i zerkam jeszcze raz na zabazgraną stronę w notatniku i ułożony pod ręką długopis. Końcówka, jak zwykle, pogryziona. Dyktafon jest. Działa. Baterie na zapas są. Okulary na nosie. Wracam do zdjęcia. Muszę zabrać się do roboty.

Biurko tonie w czarno-białych fotografiach. Za oknem trawnik tonie w zeschniętych liściach. Ja też tonę, tyle że w odmętach absurdu i tumanach kurzu. Mrugam pro forma i wyciągam najważniejsze zdjęcie. Scenka rodzajowa. Plac Wolności. To znaczy, plac Wolności to jest tu teraz, w XXI wieku. Teraz natomiast stoję na rynku, na placu targowym, na Mittlerer Marktplatz. Ten Marktplatz to w zasadzie od niedawna tu jest, od paru lat zaledwie, przynajmniej tak mi wychodzi z datowania. Jeszcze nie postawili fontanny z sową. Za parę lat dopiero postawią. Póki co rosną tu drzewa, stoją budy i stragany. Obok nich wozy z towarami, a wszędzie wokół tego krę-

cą się ludzie. To przede wszystkim oni przykuwają uwagę. Patrzę więc na nich i od nich zaczynam. Próbuję ich poznać, sięgam więc po lupę i podglądam. Dzieci ustawione w szeregu, według wzrostu. Interwencja fotografa, jak nic. Dzieci same z siebie unikają porządku i segregacji. Dzieci to chaos i ruch, trudno o gorszych modeli do zdjęcia. Nawet tu i teraz, obsztorcowane, zajęły pozycje, ale dalej się kręcą, obracają i wiercą. Dzieci trzeba wziąć w karby i wcisnąć je w sztance zrozumiałe dla dorosłych. Trzeba okiełznać w nich ten chaos. Stąd teczki, mundurki i kapelusze szkolne. Te starsze zaczynają to wyczuwać, pozują spokojniej, silą się na godną, stateczną postawę. Podpatrują dorosłych. Nad młodszymi trzeba jeszcze pracować.

Idę dalej, w lewo. Więcej dzieci. Co ciekawe – sami chłopcy. Takie czasy. Obok uczniów w szeregu malec w chałacie. Albo w fartuchu piekarskim. Trudno powiedzieć. Tak czy inaczej jego też już włączają w te dorosłe formy. Nieważne, czy ręce pachną mu chałką, czy kajzerką.

Następny. Pod latarnią, na krawędzi zdjęcia. Ten też w mundurku. Spóźnił się na zdjęcie? Chyba nie. Ręce wbite w kieszenie, zawadiacki uśmiech na twarzy. Nie, to nie ten typ. Ten chce pokazać: „Nie obchodzi mnie!”. Złapany w pół kroku, idzie teraz przed siebie jakby nic się nie działo. Ale w obiektyw spojrz, to jeszcze nie czas udawania i mistrzostwa aktorskiego. Może kiedyś.

Dzieci kręcą się też z tyłu, gdzieś na drugim planie. Widać jeszcze paru chłopców, pojawiają się wreszcie dziewczynki. Białe fartuszki, ciemne sukienki, rączki równiutko ułożone wzdłuż tułowia. Dziewczynki dojrzewają szybciej, dobrze to widać na zdjęciach.

Na tym też. Żałuję, że są tak daleko, chciałbym móc powiedzieć o nich coś więcej. Nie zmyślać. Nie da się jednak. Na innych zdjęciach ich nie ma. Świadców brak. Czas ukradł mi przeszłość i przyszłość tych dzieci. Mam tylko tu i teraz. Mam tylko to zdjęcie i muszę sobie z tym radzić.

Czas na dorosłych. Zawsze wszystko i tak rozbija się o dorosłych. To oni tu sprzedają, oni kupują. Kroczą po brukowanym placu z godnością czapli brodzącej w stojącej wodzie. Słyszę stukot obcasów i zdawkowe pozdrowienia. Kapelusze są uchylane, rękami się

macha, sąsiedzi są pozdrawiani, a interesy dobijane. Zdjęcie jest robione. Życie poszło dalej, a wąsaci panowie i eleganckie panie wciąż tam sobie chodzą. Zdjęcie wciąż trwa.

Tak naprawdę jestem stąd. Znam to miejsce, przynajmniej z przyszłości. To ono mnie przyciąga. Ludzie, którzy tu mieszkają, fascynują mnie – to prawda – ale to dla tego miejsca teraz siedzę tu, gdzie siedzę. Oto Marktplatztak jak się patrzy. Marktplatztak, Marktplatztak, Marktplatztak... Smakuję to słowo na głos. Nie plac Wolności, nawet nie rynek, tylko Marktplatztak. Dwoistość niepodzielna. Czuję, jakby to był dogmat. Mittlerer Marktplatztak i plac Wolności. Niby jedno i to samo miejsce, a tak naprawdę dwa różne. Istnieją obok siebie, nie wadząc sobie i nie przeszkadzając. Tutaj sowy jeszcze nie ma, a tutaj stoi od zawsze. Tu i tu chodzą ludzie. Różne osoby stukają obcasami po jednych i tych samych kocich łbach. Świat się obraca, a z nim kamienie, bruk i beton. Kierat państw i pokoleń. Tylko zwierzęta pociągowe się zmieniają. Kołowrót pozostał ten sam.

Myślę o lampach, o ich świetle. Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy dotarła na mój Marktplatztak elektryfikacja. Nad uchem żarówka byczy i przypomina o swoim istnieniu. Świat chce, żebym o nim pamiętał. Przypominam więc sobie o nim na chwilę. Przypominam sobie o chłodzie i nieszczelnym oknie. Znów słyszę wycie wiatru i krzątanicę za ścianą. Nie wiem, która jest godzina, spoglądam na lewy nadgarstek w poszukiwaniu zegarka, ale go tam nie ma. Pewnie leży gdzieś na biurku zasypany zdjęciami. Pieką mnie oczy. Zamykam je powoli i delektuję się ciemnością.

Otwieram oczy i widzę zdjęcie. Scenka rodzajowa. Marktplatztak z początku ubiegłego wieku. Dziwne oświetlenie, nie zauważyłem tego wcześniej. Wszystko jest jakby prześwietlone, cienie wydają się głębsze. To chyba nie tak. Zbyt szybko się rozpraszam. Od początku. Nie zwróciłem na to uwagi, ale te dzieci są straszliwie wychudzone. Chłopcy stoją jakoś tak sztywno, jak kukły. Zapadnięte policzki, podkrążone oczy... Chyba siada mi wzrok, bo nie widzę zbyt wyraźnie. W tym półmroku wszystko się rozmywa. Może to żarówka?

Chłopiec w chałacie, teraz to widzę, wszystko postrzępione i dziurawe. Pełno plam. Jakieś takie ciemne. Bardzo ich dużo. To

nie może być fartuch piekarski. Na pewno nie. Rzeźniczy, jak już. Coś niesie. Jakaś paczka owinięta białą chustą. Tylko spód brudny. Nie pamiętam tego.

Szukam czegoś znajomego. Notatki! Musiałem odruchowo robić notatki. Nic mi się tutaj nie zgadza. Chłopak po lewej też nie. Nie zapisywałem tego, a przecież teraz widzę. Widzę wyraźnie, jak się uśmiecha. Widzę jego zęby. One są ostre! Potrzebuję lepszego światła. To chyba struktura fotografii: jest mocno ziarnista, niewyraźna. To na pewno to. Widać to na przykładzie bruku. Muszę się skupić. To zdjęcie jest w gorszym stanie, niż mi się wcześniej wydawało. Pozaginane, jakby nadarte i mocno pozacierane. Muszę je trochę wyprasować, jakoś wyrównać. Przez te zagięcia burzy mi się perspektywa. Wydaje się, jakby drzewa próbowały chwytać ludzi. Na gałęziach wiszą kapelusze i szale. Ludzie wyraźnie odsuwają się od nich, chyba nawet próbują na nie nie patrzeć. Trudno powiedzieć.

Im dłużej oglądam to zdjęcie, tym więcej biedy i ubóstwa na nim widzę. Postrzępione płachty wiszą smętnie na ożebrowaniu wozów. Gdzieniedzie brakuje kostki brukowej, a stragany pozabijano deskami. To był chyba jakiś gorszy okres dla miasta. Nawet dalej, w oknach kamienicy na rogu dzisiejszej Piastowskiej i Placu widać wybite szyby w oknach. A po drugiej stronie ulicy, w domu naprzeciwko, ktoś jest. Ktoś patrzy z okna wprost w obiektyw. To chyba kobieta. Jest bardzo blada, ma długie włosy i chyba krzyczy. Nie widziałem jej wcześniej. Całe to zdjęcie wygląda jakoś inaczej.

Muszę się temu przyjrzeć na spokojnie, jeszcze raz. Zaraz. Chwila oddechu. Odsuwam się od biurka. Za oknem dalej wieje, nic się nie zmieniło. Gałęzie stukają w szybę. Listopad. Byłe do wiosny. Nie myśleć o zdjęciu. Skupić się na czymś innym. Bibliotekarki, na złość, nie słycać. Zrobiła sobie przerwę od siorbania czy co? Szukam sęków w boazerii, oglądam paznokcie. Cokolwiek, byle tylko dać odpocząć oczom. Jeszcze raz. Zamykam powoli powieki i czekam, aż gałki przestaną drgać. Uspokajam się powoli. Wdech i wydech. Wdech i wydech.

Otwieram oczy i widzę zdjęcie. Nic nie rozumiem. To w ogóle nie wygląda jak fotografia. Raczej jak szkic tuszem. Biel aż razi w oczy, wszystkie kontury są ostre. Ranią. Nie wiem, jak to inaczej wyja-

śnić, ale dłuższe spoglądanie w jedno miejsce sprawia mi ból. Ciemność rozlewa się po obrazie, jakby wydrążono tu całą sieć niewidzialnych kanalików. To niemożliwe. Dotykam delikatnie zdjęcia. Nadal jest śliskie, niemal jednolite. Tylko te zagięcia. Wydaje się, że jest ich znacznie mniej niż w rzeczywistości. Nie wiem, co się tutaj dzieje. Nie rozumiem.

Wszystko tu jest jakieś potworne. Zdegenerowane. Zamiast chłopców stojących w szeregu widzę pokraczny kształt o wielu ramionach. Nie, to nie są tylko ramiona. Jeśli się bliżej przyjrzeć, widać też stopy. Ten stwór chwyta się szponiastymi łapami błota i pełźnie w stronę fotografa. W płataninie rąk i nóg widać też oczy. Ebonitowe krosty na bladym, prążkowanym cielsku. Nie jestem pewien, czy to są zagięcia, czy też ledwo widoczne ślady szwów. Nie chcę wiedzieć.

Czuję się brudny. Źle mi z tym, że wciąż przyglądam się tej fotografii. Nie mogę jednak przestać. To silniejsze ode mnie. Przesuwam lupę w lewo i widzę znajomą biel chałata. Tylko to się nie zmieniło. Chłopiec urósł, wydłużył się jakby. Cały pokryty jest futrem, nawet twarz. Chociaż tutaj już bardziej pasuje słowo „pysk”. Pociągły, ostry i zwierzęcy, zwieńczony rogami. Ręce sięgają mu do kolan. Cienkie, pajęczne palce zaciskają się na długich włosach. Nie ma już paczki. Jest tylko oderwana głowa. Nie widać twarzy. Zaslaniają ją włosy. Obok niego czai się cień. Tyle widzę. Pod latarnią rozlewa się ciemna plama, która z grubsza tylko przypomina człowieka. Są jeszcze oczy. Białe i skośne. Bezżrenicowe. Szydercze jakby. No i zęby. Dwa szeregi cienkich i ostrych zębów. Jest ich za dużo, jak na istotę ludzką. Boję się. Naprawdę się boję.

Zniknęły stragany, budki i wozy. Rozrosły się za to głodne drzewa. Teraz to dobrze widać. Bezlistne gałęzie jak wielopalczaste łapy chwytają ludzi. Część z nich niknie w gąszczu, kilku jeszcze się szarpie. Widać ruch. Słyszać skrzypienie sękatych konarów i klekot kości. Może to tylko badyle? Ręce mi się trzęsą. Chciałbym już przestać.

Na środku placu tańczą trupy. Tak po prostu. Nie ma targów, nie ma powitań. Tutaj nie ma nawet ludzi! Są tylko korowody upiorów trzymających się za ręce. Widzę strzepy fartuszków, widzę eleganc-

kie kapelusze i suknie. Widzę krogulcze pazury i puste oczodoły. To nie gałęzie tak klekoczą, tylko kości. Żuchwy. Miednice. Żebra. Jest mi tak zimno!

Odruchowo szukam latarni. Światło, więcej światła. Były przecież dwa słupy. Jeden wciąż tam stoi, pod nim czai się cień. Pal jednak urósł. Nie przypomina już codziennej żeliwnej konstrukcji. Wydaje się rosnąć w oczach, pęcznieć. Jakby coś go obrastało. Cały czas widzę kolczaste pnącza owijające się wokół rdzenia. W tle stoi kolejna konstrukcja. Prosta, onyksowo czarna i gładka. Jej wierzchołek niemal ginie ponad krawędzią. Na samym czubku czai się coś jeszcze. Ktoś. Widzę wychudzonego mężczyznę owiniętego łańcuchami. Wyciąga do mnie dłoń, na której spoczywa samotna, biała kulka. Mrugam, trudno mi uwierzyć w to, co widzę. To chyba oko. Pionowa źrenica zdaje się śledzić każdy mój ruch. Uciekam wzrokiem dalej. Czuję swędzenie z tyłu głowy. Jakby ktoś mnie śledził, jakby ktoś wciąż mnie obserwował.

W oknach jest coraz więcej twarzy. One na mnie patrzą! One mnie widzą! Wszyscy krzyczą. Nie chcę tego słuchać! Nie chcę już na to patrzeć! Mogę tylko kręcić głową, ale to nie pomaga. Wydaje mi się, że poruszają się między oknami. Znikają i pojawiają się na przemian. Tego jest za dużo! Nie zniosę więcej.

Coś drapie w drzwi. Nie szarpie za klamkę, nie próbuje ich otworzyć. Po prostu drapie. Może nie umie inaczej? Nie wiem. Nie chcę tu być. Zamykam powoli oczy. Nie będzie następnego razu. Boję się. Nie chcę już niczego widzieć.

Mimo wszystko mam przyjaciół

Na początku wakacji do Bielawy, niewielkiej miejscowości otoczonej górami, przyjechała pewna rodzina. Mamusia i tatuś Marcinka kupili tam domek z ogródkiem, o którym zawsze marzyli, i urządzali go prawie przez całe lato. Marcinkowi na początku było bardzo trudno zaakceptować nowe miejsce zamieszkania. Wiedział, że we wrześniu rozpocznie naukę w innej szkole, gdzie nie będzie już Zosi, która odrabiała z nim lekcje, i Kamila, z którym kopał piłkę. Wszystko w tym mieście wydawało mu się takie obce. Rodzice rozumieli uczucia syna i, aby dodać mu otuchy, rozmawiali z nim przez długie wieczory i przygotowywali do nauki w nowym i nieznanym środowisku. Chodzili z nim też często na spacery przytulnymi uliczkami miasta, odwiedzali rynek i podziwiali kolorowe kamieniczki

Każdego dnia Marcinek pomagał rodzicom urządzać dom, a w wolnych chwilach odpoczywał na kocyku w ogrodzie. To miejsce było dla Marcinka magiczne i czuł się w nim bardzo szczęśliwy. W lipcu i w sierpniu ogród wyglądał niczym baśniowa kraina. Z gałęzi drzew zwisały dorodne i soczyste jabłka, tak słodkie jak plastry miodu. Krzaki malin i agrestu obsypane owocami wabiły owady. Przy płocie mieszkały stokrotki w białych sukienkach, czerwone tulipany i fioletowe dzwonki, które z wiatrem wygrywały wesołe melodie. Z niedużych kępek traw wystawały puchate główki białej i różowej koniczyny. Podczas wypoczynku Marcinkowi zawsze towarzyszyły kolorowe kredki i arkusze białego papieru. Całymi godzinami chętnie rysował kwiaty, barwne motyle i ptaki śpiewające w koronach drzew. Marcinek spędzał wiele czasu nad rysunkami. Chciał, aby te chwile trwały jak najdłużej, jednak lato zbliżało się ku końcowi, a dni stawały się coraz chłodniejsze i krótsze.

Ostatniego dnia wakacji Marcinek postanowił jeszcze raz uwiecz-

nić na rysunku piękno przyrody. Zrobiło mu się przykro, że rośliny pójdą spać, kiedy nauka w szkole rozpocznie się na dobre, i zobaczy je znów dopiero wiosną. Zmianę nastroju chłopca dostrzegły kredki, które jak zwykle ułożyły się równym rzędkiem na papierze. Fioletowa i żółta kredka od razu zabrały się do pracy, rysując na całej kartce stokrotki, dzwonki i promyki słońca. Niebieska kredka już miała zacząć rysować pierzaste obłoczki, kiedy nagle spostrzegła smutną twarz Marcina. Szybko wyskoczyła z delikatnej rączki chłopczyka, stanęła przed nim prosto i zapytała:

- Dlaczego jesteś smutny Marcinku?
- Ach, kochana kredko, tak bardzo boję się iść jutro do szkoły.
- Na pewno wszystko będzie dobrze – pocieszała niebieska kredka.
- Chciałbym, żeby tak było. Ta szkoła, wydawała mi się strasznie duża, jak mamusia mi ją pokazała.
- Na pierwszej lekcji pani przedstawi cię dzieciom, one potem ci wszystko pokażą...
- Ale ja nie wiem, czy mnie polubią – przerwał kredce Marcinek. – Odkąd się tutaj wprowadziliśmy, nie znam nikogo. Smutno mi, bo czuję się bardzo samotny.
- Jesteśmy przyjaciółmi, ale wkrótce zdobędziesz nowych – odrzekły kredki. – Zabierz nas jutro do szkoły, to ci pomożemy – prosiły dalej.
- Dziękuję, że mogę na was liczyć. Będę tęsknił za ogrodem, w którym spędzaliśmy wolny czas.
- Zimne dni szybko miną, a wiosną znowu będziemy w nim razem rysować.

Następnego dnia pani wychowawczyni przedstawiła Marcinka innym dzieciom:

- Kochani, w tym roku szkolnym do naszej klasy został zapisany nowy uczeń. Ma na imię Marcinek. Chcę was prosić, abyście go miło przyjęli do naszej grupy. Marcinek nie zna szkoły, więc pokażcie mu bibliotekę, boisko i świetlicę.

Po tych słowach pani poleciła Marcinkowi, żeby usiadł obok Pawła, chłopczyka o jasnych włosach, który uśmiechnął się do niego szeroko.

Pierwszą lekcją były prace plastyczne, na których pani poprosiła

dzieci, aby narysowały najpiękniejsze miejsce, jakie zobaczyły podczas wakacji. Kiedy usłyszały to kredki, aż podskoczyły na blacie stolika z radości. Marcinek zabrał się do rysowania, gdy nagle usłyszał szept Pawła:

– To wszystko twoje?

– Co? – zapytał Marcinek, bo naprawdę nie wiedział, o co Paweł go zapytał.

– No, te rysunki.

– Tak, są moje... Narysowałem je podczas wakacji.

– Są świetne! – stwierdził Paweł i zabrał się do swojego rysunku.

Pod koniec lekcji wszyscy prezentowali swoje prace. Rysunki były różne. Jedni narysowali plażę, inni kolorowe domki, las albo góry. Kiedy nadeszła kolej na Marcinka, niepewnie wstał z ławki i uniósł do góry swoją pracę. W klasie zrobiło się cicho, bo wszyscy spoglądali na jego rysunek z dużym zaciekawieniem.

– Co narysowałeś Marcinku? – zapytała pani nauczycielka.

– To jest ogród obok mojego domu. Latem są w nim kolorowe kwiaty, świeże owoce, a czasem odwiedzają nas różne małe zwierzątka.

– Twój rysunek jest wspaniały, Marcinku. A wy co o nim myślicie?

– zapytała pani inne dzieci.

– Proszę pani, Marcinek ma dużo więcej takich rysunków. O tutaj!

– wykrzyknął Paweł, wskazując palcem na teczkę, z której wysypały się wcześniej prace chłopca.

Pani podbiegła do ławki, wzięła do rąk rysunki i po krótkim zastanowieniu powiedziała:

– Potrafisz naprawdę bardzo ładnie rysować, Marcinku. Czy nie zechciałbyś dołączyć do naszej grupy plastycznej? Zajęcia odbywają się codziennie po lekcjach w świetlicy szkolnej.

– Nie wiem, gdzie jest ta świetlica i... czy sobie poradzę – odpowiedział cicho.

– Poradzisz sobie, Marcinku. Masz duży talent, a świetlicę pokażą ci na przerwie Paweł i Karolinka. Obejrzyj sobie wystawę rysunków, które zrobiliśmy w zeszłym roku, w domku porozmawiasz z rodzicami i wtedy zdecydujesz, czy będziesz chciał z nami pracować.

– Dobrze.

Na przerwie Karolina i Paweł pokazali Marcinkowi świetlicę.

Była to duża sala, która mieściła się na parterze, niedaleko ich klasy. Ściany pomalowane były na niebiesko, a na drewnianej podłodze leżał mięciutki dywan. Na tym dywanie stał duży stół i wiele krzesełek. Prawie na wszystkich ścianach wisiały kolorowe rysunki dzieci. Po prawej stronie stały szafy wypełnione różnymi przybarami plastycznymi, które nauczycielka rozdawała podczas zajęć. Marcinek oglądał wszystko z wielkim zdumieniem...

Po przerwie były jeszcze trzy lekcje, na których dzieci ćwiczyły dodawanie i czytanie z podręcznika...

Tuż przed snem Marcinek opowiedział rodzicom, co działo się w szkole. Rodzice wysłuchali opowieści synka, a kiedy skończył, głos zabrała mama:

– Wiesz, Marcinku, my również uważamy, że twoje rysunki są ładne i rzeczywiście powinieneś spróbować swoich sił w świetlicy. Czy chciałbyś tam chodzić?

– Tak, ale się boję.

– Czego się boisz, Marcinku? – zapytał tatuś.

– Że... coś mi się nie uda.

– Pani na pewno ci pomoże i nikt nie będzie się z ciebie śmiał. Poza tym nauczysz się nowych rzeczy i zdobędziesz przyjaciół. No, nie martw się już – powiedziała mama i wycisnęła na policzku Marcinka dużego buziaka na dobranoc.

Następnego dnia Marcinek, Karolinka i Paweł postanowili, że po lekcjach pójdą razem do świetlicy. Dzieci zajęły miejsca przy stole i po rozmieszczeniu na nim papieru i kredek zabrały się do pracy. Każdy miał narysować jesienny obrazek, najlepiej jak potrafi. Ucieszone kredki, kierowane drobną rączką Marcinka, aż wirowały po całym papierze, rysując setki barwnych liści. Jego obrazek bardzo spodobał się wszystkim i został powieszony na wystawie.

Od tamtej pory Marcinek chętnie chodził do szkoły. Po zakończeniu zajęć zawsze wracał do domu przez rynek, na którym sowa z fontanny baczenie obserwowała roześmiane dzieci. Marcinek często zapraszał przyjaciół do swojego domu, odrabiał z nimi lekcje, rysował, grał w różne gry planszowe. I nawet się nie spodziewał, kiedy znowu zrobiło się ciepło. Wszystkie ogrodowe roślinki zaczęły budzić się do życia. Pąki kwiatów radośnie wystawiały do słońca

swoje delikatne główki. Marcinek mógł znowu bawić się w ogrodzie.

Pewnego dnia, kiedy szedł rynkiem śpiesznie do szkoły, mijając po drodze duże i małe dzieci, ktoś zrobił mu zdjęcie. Niebawem ukazało się ono w miejskiej kronice, w artykule pt. „Życie mieszkańców Bielawy w latach 20. XX wieku”. Kto wie? Może zobaczysz je kiedyś?

Spacer do przeszłości

Dzień mijał bardzo przyjemnie, za oknem zmieniały się krajobrazy. Jechałam. Gdzie? Do Bielawy. Odwiedzić to piękne miasto, wrócić do starych korzeni. Z dworca miała mnie odebrać Elizabeth – stara, dobra przyjaciółka mojej mamy.

Czy się bałam? Raczej nie – bardziej nie mogłam się doczekać spotkania z tym małym miasteczkiem po latach. Ostatnio byłam tam 20 lat temu, bo gdy miałam 7 lat wyemigrowałam z rodzicami do Kanady. Podróż samolotem trwała kilka godzin, później przesiadłam się do pociągu. Mijałam różne miejsca, niemieckojęzyczne jeszcze miasta i wsie. Nagle z głośników wagonu dał się słyszeć komunikat: „Za 10 minut dojedziemy do Langenbielau”.

Minuty minęły bardzo szybko i już za moment wysiadałam z pociągu.

Stacja była nieduża, a przynajmniej mniejsza od tych, które znałam.

– Luiza! Luiza! – usłyszałam kobiecy głos wypowiadający moje imię. Odwróciłam się i zobaczyłam starszą, uśmiechniętą kobietę truchtającą w moim kierunku. – Luizo, dziecko kochane! Jak ty wyrosłaś! Ponadto jesteś śliczną kobietą, zupełnie jak twoja matka! – krzyczała kobieta, ścisnąc mnie i przyglądając mi się dokładnie.

– Och, ciociu Elizabeth! Nie poznałam cię! – rzekłam uradowana, gdy wreszcie uświadomiłam sobie, z kim rozmawiam.

Nic nie było znajome. Zastanawiałam się, ile jeszcze przedszkolnych koleżanek i kolegów tu mieszka? Czy ich spotkam? Mnóstwo pytań kłębiło się w mojej głowie, a teraz byłam tu – w Bielawie, moim miasteczku z dzieciństwa. Tylko zdjęcia przypominały mi o latach spędzonych tutaj. Później wszyscy się rozjechali. Wujek do Niemiec, babcia z dziadkiem do swojej siostry, do Francji, a my najdalej – do Kanady. Ale wciąż mieliśmy tu swoje „korzenie”. Ciocia Elizabeth, przyjaciółka mojej mamy, była tu jeszcze i na mnie czekała.

– Wiek robi swoje... – zaśmiała się sympatycznie kobieta. – Opowia-

daj, złociutka, jak tam u was? Jak się miewa Teresa? I w ogóle wszystko, wszystko! – dodała po chwili.

Po polsku mówiłam płynnie, więc spokojnie się dogadywałyśmy. Zachełyśmy pod stary dom. Opowieści nie było końca.

Opowiadałam cioci Elizabeth o mojej mamie, o ojcu i o teraźniejszym siedlisku w wielkim mieście Kanady – Toronto.

Staruszka opowiadała mi o ciekawych zmianach, które następowały na przestrzeni lat, kiedy mnie tu nie było. Następnego dnia poszliśmy na spacer.

– A pamiętasz może to miejsce? – spytała Elizabeth, gdy weszliśmy na duży plac. Miejsce to było zatłoczone, wokół mijało nas mnóstwo ludzi zajętych rozmowami. Chodzili w różnych kierunkach, ciągle się gdzieś śpiesząc. Roześmiane, szczęśliwe dzieci wracały z teczkami w rękach, chyba ze szkoły.

To miejsce coś dziwnie było mi znajome...

Ale zaraz, zaraz... Jakby tak zabrać stąd tę wieżę nieopodal, ściąć te drzewa wokół nas i zmienić kolory tych budynków po obu stronach...

Czy to przypadkiem nie jest...?

– Plac Wolności? – wyjąkałam niepewnie.

– Masz niebywałą pamięć, kochana – kobieta pokręciła z uznaniem głową. – Faktycznie, to jest plac Wolności.

Przechadzałyśmy się po rynku, opowiadając sobie historie związane z tym miejscem.

– Szkoda, że nie ma tu Teresy, twojej mamy. Tyle wspólnych wspomnień... Ten kram, do którego przed szkołą biegłyśmy po świeże bułki... No i ten kiosk pani Bronisławy, do którego zawsze w poniedziałek leciało się po nowe gazety... – opowiadała Elizabeth.

Teraz na ich miejscach stoją nowe, rozbudowane sklepy i stoiska. Pamiętam to, jakby to było wczoraj...

Z zadumy wyrwał nas głos:

– Moje uszanowanie, pani Elizabeth! – usłyszałam głos młodego mężczyzny, stojącego przy straganie z żywnością.

– O, dzień dobry! – krzyknęła radośnie moja towarzyszka i pociągnęła mnie za rękę w stronę młodzieńca. Chłopak był, przypuszczam, mojego wieku, może ciut starszy. Był naprawdę przystojny. Czarne błyszczące włosy dodawały mu elegancji.

– Spójrz, kogo ze sobą przyprowadziłam. Może pamiętasz... – mówiła dumnie kobieta, wskazując na mnie, ale nie zdążyła dokończyć, gdyż przerwał jej głos chłopaka.

– Luiza? – powiedział, bardziej pytając, i uśmiechnął się do mnie. – Czy to ty?

Ujrzałam ten znany mi błysk w niebieskich oczach mężczyzny, którego rozpoznałam.

– Gustaw! – krzyknęłam uradowana. – Na rany boskie, czy to naprawdę ty?! Nie wierzę własnym oczom! Tak się cieszę, że cię widzę!

– Tyle lat minęło! – ominął stragan, za którym stał, i już po chwili znalazł się obok, aby mnie przytulić.

Zaczęliśmy rozmawiać o wszystkim i o niczym. Tak jak mi się wydawało, Gustaw miał 28 lat, ale w moich wspomnieniach był zadziornym, małym chłopcem. Opowiadał mi o ciekawych, młodzieńczych przygodach, które niestety musiał przeżyć sam, gdyż mnie nie było już w Bielawie. Kiedyś byliśmy przyjaciółmi.

– Przepraszam, że muszę wam przerwać, ale mamy jeszcze wiele rzeczy do zobaczenia – przerwała nam, śmiejąc się, Elizabeth.

– Przepraszam najmocniej, że was zatrzymałem, ale tak długo nie widziałem Luizy – mrugnął do mnie okiem, a ja nabrałam rumieńców.

– Mam nadzieję, że się jeszcze kiedyś zobaczymy – rzekłam w jego stronę, powoli odchodząc za starszą panią.

– Ja również. Do zobaczenia Elizabeth! – krzyknął w naszą stronę, żegnając się z kobietą, która skinęła mu uprzejmie głową.

– Serwus, Luizka! – krzyknął, wykonując ręką gest, dokładnie w ten sam sposób jak kiedyś, gdy mieszkałam w tym wspaniałym miasteczku. Zaskliły mi się oczy na myśl, że to pamiętał.

– Serwus, Guciu! – zaśmiałam się, wykonując ten sam gest ręką.

Byliśmy dorosłymi ludźmi, a jednak obydwoje pamiętaliśmy naszą dziecięcą, wspaniałą przyjaźń. Było to niezwykle wzruszające. Miałam wrażenie, że z każdą minutą coraz bardziej tęsknię do mojej małej Bielawy.

Podczas dalszego zwiedzania zatrzymywałyśmy się w miejscach, które wyglądały inaczej lub na ich miejscach stały zupełnie inne obiekty. Całą drogę wspominałam z Elizabeth otoczenie, w których dorasta-

łam, a kobieta opowiadała mi historię budynków i zagospodarowania obszarów. To było bardzo ciekawe.

Tydzień minął bardzo szybko i ani się obejrzałam, a wróciłam z powrotem na stację. Musiałam wracać. Tam, w Toronto, czekała na mnie rodzina i praca, którą bardzo lubiłam.

– No, to do zobaczenia kochana! Odwiedź nas jeszcze kiedyś! – powiedziała starsuszka, żegnając się ze mną.

– Coś mi się wydaje, że przyjadę tu w niedalekiej przyszłości. Trudno mi się rozstać z tym małym Langenbielau, z którym wiązę tyle wspólnych wspomnień – mówiłam pewna swoich słów.

– Dobrze, zapraszam! Ucałuj ode mnie rodziców i wspomnij, że na nich też czekam! – powiedziała ciocia, gdy wchodziłam już do wagonu.

– Oczywiście, przekażę – rzekłam, przesyłając buziaczka.

Wracałam do Toronto, do swojego obecnego życia, do kochających rodziców, którzy nie mogli się mnie doczekać i planowałam swoją drugą podróż, bo...

Na pewno już niedługo przyjadę tam, do Bielawy – do miejsc, do których tak bardzo lubię wracać wspomnieniami, i do chłopaka o niebieskich oczach, o którym nigdy nie zapomnę.

Trzymaj się, Bielawo! Do później!

Moje miasto jest dla mnie domem

Dom daje poczucie bezpieczeństwa. Nawet gdy go opuszczamy, pozostaje na zawsze w naszej pamięci i naszych sercach.

Patrząc na stare fotografie Bielawy, poznaję historię mojego miasta i ludzi, którzy tu mieszkali. Widzę to samo niebo, te same budynki, ulice, drzew nieco więcej i ludzi... dzieci takie jak ja. Dzieci radosne, ludzie spokojnie spacerujący ulicami. Ich obecność sprawia, że miasto żyje. Ma swój urok i klimat. Jednak nadszedł czas, kiedy dom trzeba było opuścić, aby ratować życie. Wojna zabrała mieszkańcom poczucie bezpieczeństwa, zmusiła do pozostawienia rodzinnego gniazda.

Te same miejsca są dziś naszym schronieniem. Historia jednak żyje w pamięci, a przypominają nam o niej między innymi stare fotografie.

Targ

Dzisiaj w Langenbielau odbywał się targ. Kazik i Andrzej byli bardzo podekscytowani. Początkowo rodzice byli przeciwni, żeby chłopcy poszli sami na targ. Jednak dzieci ich przekonały. Bracia spotkali tam kolegów ze szkoły: Adriana, Kubę i Bolka oraz innych chłopaków. Była również Janina, siostra Bolka. Wszystko było dla nich niesamowite.

Gdy zobaczyli stragan z jabłkami w karmelu, oniemieli i od razu tam pobiegli. Kupili sobie po jednym. Następnie poszli zobaczyć inne stragany. Obejrzeni tam różne ekskluzywne rzeczy: jedwabne tkaniny, mosiężne wyroby oraz złotą biżuterię. Na innym straganie ujrzeli piękne haftowane obrusy i chustki. Nie były aż tak bardzo drogie, więc kupili cudowną chustkę w niebieskie i różowe kwiatki. Postanowili ją podarować mamie. Przeszli w północną część targu. Zobaczyli tam handlarza, który sprzedawał różne kamienie. Chłopcy chcieli kupić coś tacie i uznali, że kamień będzie odpowiedni. Wybrali piękny, mieniący się w słońcu agat.

Gdy wrócili na plac, przywitał ich Stasiek. Jego ojciec zaproponował, że zrobi wszystkim dzieciom zdjęcie. Dzieciaki się zgodziły. Szczęśliwi chłopcy, wchodząc do mieszkania, podarowali rodzicom prezenty. Rodzice byli zachwyceni.

Parę dni później Stasiek wręczył im zdjęcie, które zrobiono na targu. Rodzina oprawiła je w ramkę i postawiła na półce. Chłopcy każdego dnia przypominali sobie ich pierwszą w życiu wizytę na targu.

Przygoda z czasem

Był ciepły wrześniowy dzień. Po skończonych lekcjach ja i moja koleżanka Amelka wracałyśmy do domu dłuższą drogą, przez bielawski rynek. Po pewnym czasie zmęczyłyśmy się i usiadłyśmy na najbliższej ławce. Nagle zaczęło mi się kręcić w głowie i straciłam przytomność. Gdy niespodziewanie otworzyłam oczy, zobaczyłam, że nie siedzę już koło Amelki, tylko jestem na rynku, ale nie na tym rynku, na którym byłam przed chwilą. Wszystko było inne. Zamiast fontanny z krasnoludkami stały budki, w których sprzedawano różne rzeczy. Tam, gdzie dziś są sklepy, były zwykłe mieszkania. Zobaczyłam też panie i panów, którzy roznosili świeże pieczywo.

Około godziny trzynastej przez drzwi szkoły wybiegł tłum dzieci w różnym wieku. Miały na sobie śmiesznie wyglądające mundurki szkolne. Nagle cichy rynek stał się głośny i gwarny. A ja siedziałam i patrzyłam na zabawy innych ludzi. Pewna dziewczynka w moim wieku podeszła do mnie i miło zaczęła rozmowę. Powiedziała mi nieśmiałym głosem, że nigdy wcześniej mnie nie widziała, ale jest jej bardzo miło, że możemy się poznać. Dowiedziałam się, że ta dziewczynka ma na imię Marysia i ma małą siostrę, którą jej mama wozi w wózeczku. Gdy skończyłyśmy rozmawiać, Marysia zaprosiła mnie do wspólnej zabawy w berka. Oczywiście się zgodziłam. Zabawa była bardzo udana, nawet dorosli się do nas przyłączyli. Potem okazało się, że na rynku jest fotograf, który robi zdjęcia przechodniom. Wtedy ustawiłyśmy się do zdjęcia. Stałam obok Marysi, która trzymała mnie za rękę.

Nagle usłyszałam głos Amelki, która mnie wołała. Zamknęłam oczy, a gdy je otworzyłam, okazało się, że jestem na naszym rynku, obok Amelki. Opowiedziałam jej, co mi się przytrafiło, ale ona mi nie uwierzyła. Drugiego dnia w szkole pani ogłosiła konkurs na opowiadanie na podstawie starego zdjęcia Bielawy. Gdy dostałam

fotografię, nie mogłam uwierzyć, że na tym zdjęciu, wraz z innymi dziećmi, obok Marysi stoję ja! Już doskonale wiedziałam, o czym napiszę to opowiadanie...

Wspaniały dzień

Pierwszy września był dla Janka pierwszym dniem szkoły, ale w zupełnie innym i nowym miejscu. Janek przyjechał do Langenbielau z Breslau, dlatego, że jego tata znalazł pracę w zakładzie włókienniczym Dieriga. Przychodząc do nowej szkoły, Janek przywitał się z panią i usiadł ze swoimi nowymi kolegami, z którymi od razu doszedł do porozumienia. Nowi koledzy dopytywali się, skąd przyjechał, czemu się przeprowadził i jakie są jego zainteresowania. Na wszystkie pytania Janek odpowiadał z entuzjazmem i dumą, że przyjechał z tak dużego i znanego miasta jak Breslau. Długo rozmawiali, aż w końcu zaczęło się przemówienie dyrektora szkoły. Po nim Janek zapytał nowych kolegów, czy chcą poznać go lepiej i czy po południu pokażą mu całe miasto. Chłopcy zgodzili się na taką propozycję.

Janek do domu wracał z rodzicami, którzy towarzyszyli mu podczas pierwszego dnia w nowej szkole. Przechodzili przez rynek. Był bardzo ładny! Drewniane ławki, na których siedzieli ludzie, wielkie donice z kwiatami, nowo zasadzone drzewa, stragany, do których kolejki sięgały kilku metrów i duża, piękna fontanna z dziewięcioma krasnoludkami podtrzymującymi wielką sowę, która jest symbolem tego miasta. Po drodze zapytał się rodziców, czy może iść z kolegami pozwiedzać miasto, a rodzice się zgodzili.

Janek spotkał się z kolegami w wyznaczonym miejscu o godzinie szesnastej. Chłopcy opowiadali swojemu nowemu przyjacielowi o mieście, szkole, a także o sobie. Pierwszym miejscem, które odwiedzili, był rynek. Janek powiedział chłopakom, że zna go już, ponieważ był tam razem z rodzicami. Postanowili więc wspólnie, że pójdą na stację kolejową, która znajdowała się niedaleko rynku. Gdy doszli na miejsce, Janek bacznie obserwował pociągi zatrzymujące się na peronie, a chwile później odjeżdżające dalej, przed siebie, do innych miast. Chłopak bardzo interesował się pociągami

i mógł obserwować te maszyny godzinami, bardzo go ciekawiły. Chociaż w Breslau mieli większą stację i mógł obserwować więcej pociągów, stacja w Langenbielau także mu się spodobała i obiecał sobie, że będzie tu przychodzić chociaż raz w tygodniu.

Następnym miejscem, które odwiedzili chłopcy, był miejski park. Było w nim mnóstwo drewnianych ławek, różnokolorowych kwiatów, wysokich drzew i bardzo dużo ludzi. Janek zachwycał się tym miejscem. Po małym jeziorze pływały kajaki i małe łódki z turystami. Na brzegu stało bardzo dużo małych sklepików z pamiątkami, a także budki z napojami i lodami. Jeden z nowych kolegów Jaśka wyjął z kieszeni pięć monet i powiedział mu, że popłyną razem kajakiem. Chłopiec był bardzo zadowolony! Władek zapłacił za kajak, do którego wsiedli i popłynęli. Jankowi bardzo podobała się ta mała podróż, chociaż musiał dużo wiosłować. Po kajakach Jasek przypomniał sobie, że dostał od rodziców trochę pieniędzy. Kupił swoim kolegom pyszne lody. Po zjedzeniu lodów cała paczka chłopaków poszła na łąkę pograć w piłkę. Grali i grali bez mierzenia czasu. Gdy zaczęło się ściemniać, koledzy odprowadzili Janka do domu.

Chłopcu bardzo podobał się pierwszy dzień w Langenbielau spędzony z nowymi przyjaciółmi. Opowiedział rodzicom o swoich dzisiejszych przygodach i nowo poznanych miejscach. Powiedział im, że najbardziej ze wszystkich miejsc, które zwiedził, podobał mu się rynek i dworzec pełen pociągów.

Pewnego letniego popołudnia, w okresie powojennym w Bielawie świętowano otwarcie biblioteki miejskiej. Na rynku urządzono festyn z okazji tego święta. Uroczystość obchodzono hucznie, przybyli wszyscy mieszkańcy Bielawy. Impreza miała na celu zbiórkę charytatywną na rzecz biblioteki.

Wiele gospodyń przygotowało dla przybywających rozmaite potrawy, m.in. wypieki, sery oraz różne dżemy i syropy. Na pozostałych stoiskach oferowano rękodzieła: serwety, dzbanki i wianki z kwiatów. Dla gości przygotowano liczne występy, jednak największą atrakcją miał być występ siedmiu uzdolnionych artystycznie chłopców.

Podczas koncertu wybitnie utalentowanych muzycznie chłopców wiwatom nie było końca. Publiczność prosiła o bis, a najbogatszy człowiek Bielawy podarował im prywatny księgozbiór ze swojej biblioteki. Chłopcy byli uradowani, iż zbiory bielawskiej biblioteki wzbogacą się tyłoma pięknymi i cennymi książkami. Mieszkańcy również byli zachwyceni i ponownie nagrodzili chłopców brawami. Impreza ta zapadła w pamięci na długo i była powtarzana cyklicznie. I za każdym razem wspominano chłopców i ich wspaniałe dokonanie. Dzięki nim do dziś funkcjonuje bielawska biblioteka, z której korzystali nasi dziadkowie, rodzice oraz obecnie korzystamy. Jest to dobro, które zostanie dla pokoleń.

Cześć, Koleżanko, Kolego!

Jest początek jesieni 1920 roku. Nasza paczka, jak co dzień, rano idzie do szkoły. My już jesteśmy w komplecie. Jeszcze tylko Olo. To ten koło latarni, zaraz do nas dojdzie i pójdziemy razem. Po drodze wejdziemy do piekarni po ćwiartkę chleba, a może nawet starczy na cukierki.

Dzisiaj będzie ciekawie, ponieważ Klaus dostał piłkę z pęcherza i będziemy grać w futbol. Chodzimy do jednej klasy, uczymy się dobrze – chyba. Ale wolimy grać w futbol i robić wyprawy do lasu lub w góry. Zatrzymaliśmy się na chwilę, bo ktoś robi zdjęcia w Biela-wie. Taki fotograf to naprawdę mądry jegomość. Ma tyle urządzeń, szkiełek i to, co tak wybucha. Ach, jak fajnie byłoby mieć takie coś do robienia wybuchów! Jan potrafi strzelać z siarki, ale ten fotograf to jest naprawdę ktoś.

Właśnie na nas zawołał. Powiedział, że zrobi nam zdjęcie. Czekamy na Olego. To zdjęcie trafi do takiego pudełka i będzie zamknięte aż do czasu, kiedy ktoś je otworzy. Ciekawe, kiedy to będzie? Pan fotograf mówi, że dużo czasu upłynie, zanim to otworzą. Mamy napisać, co chcielibyśmy powiedzieć naszym kolegom i koleżankom za wiele lat. A może się kiedyś spotkamy? Ojej! Ale my będziemy dorośli, jak oni nas rozpoznają? A może nigdy się nie zobaczymy i zostaniemy tylko wspomnieniem?

Popatrzcie na nas. Czy różnimy się od Was? Czy też gracie w futbol? Czy lubicie się uczyć – bo my nie bardzo. Wolimy uprawiać sport i odkrywać różne zakątki w naszej Biela-wie. Nasze miasto nie jest duże, ale to nasz świat. Ciekawe, czy zostanie na dłużej, a może zniknie i to, co widać na fotografii, będzie tylko cieniem przeszłości?

Późno już, musimy iść do szkoły. Fajny ten pan fotograf! O, mamy się jeszcze tu podpisać, wszyscy chłopcy:

Olo,
Klaus,
Jan,
ja – Franek,
Michał,
Anton,
i Piotr.

Pozdrawiamy Cię, Koleżanko lub Kolego!
Pamiętaj o nas! Byliśmy tacy, jak Ty!

Krasnoludkowe przygody klubu Bielawiaki

Oto Bielawa XX wieku. Jest piękna i malownicza, położona u podnóża Gór Sowich. O, tutaj stoi grupka chłopców, a dokładniej szóstka. To o tych właśnie chłopcach będzie to krótkie opowiadanie.

– Cześć, jestem Fajduś!

– Ja nazywam się Lolek!

– Ja Olek!

– A ja Franek, ten najmniejszy to Kajtek.

– Natomiast ja, drodzy państwo, mam na imię Juliusz, nazywam się Zakalak i jestem przewodniczącym tego oto klubu o nazwie Bielawiaki. Większość z nas nie jest rodowitymi bielawianami, oprócz Fajdusia. Nasi rodzice przyjechali z różnych zakątków Polski. Przyjechali tu pracować w zakładach włókienniczych Bielbaw. Fajdusiowi rodzice również tam pracowali. To była bardzo tajemnicza rodzina, ale o tym nieco później. Teraz chcę wam opowiedzieć o naszych wspaniałych wakacjach.

Zacznijmy od samego początku. Jeszcze na początku czerwca pani opowiadała nam o bielawskich krasnoludkach, które mieszkają w okolicznych lasach i na Górze Parkowej. Ta historia tak nas zaciekawiła, że nasz klub, Bielawiaki, w wakacje postanowił sprawdzić, czy to prawda.

Wszystko zaczęło się w piątek 10 lipca, punkt 10 rano, na bielawskim rynku. Gdy się zebraliśmy, zobaczyliśmy, że nie ma Fajdusia, wybraliśmy się więc do domu naszego przyjaciela. Drzwi otworzyła mama Fajdusia, która nie chciała się zgodzić, aby nasz kolega poszedł z nami.

– Nie ma co, z panią Eulalią nie wygramy!

Poszliśmy z opuszczonymi głowami.

– Nic nie poradzimy! – stwierdził Olek.

– Hej, chłopcy, idziemy w góry? – zapytał w końcu Franek.

– No jasne! Idziemy szukać krasnoludków! – powiedzieli chórem chłopcy.

– Chodźcie, nie ociągajcie się! Idziemy już! – popędzał nas Olek.

Doszliliśmy już daleko, aż nagle słyszymy tupot małych stóp.

– Krasnale! Krasnale! – usłyszeliśmy głos Fajdka.

– Fajduś! Jesteś! – wykrzyknęliśmy zgodnym chórem.

Fajdek usłyszał nasz okrzyk.

– Ciszej! Ciszej! – powiedział. – Chodźcie za mną, coś wam pokażę, a po drodze opowiem. Ale na początku musicie mi przysięgnąć, że nikomu, ale to nikomu, nigdy nie zdradzicie tej tajemnicy. Mówię to tylko wam jako przyjaciółom...

– Obiecujemy, obiecujemy! – zawołali zgodnie chłopcy.

– No, bo to jest tak, że ja jestem krasnałem. Dlatego nie chodzę do szkoły, a mama nie chciała mnie puścić z wami, ponieważ bała się, że zdradzę rodzinną tajemnicę. I chyba miała trochę racji... – opowiadał przejęty Fajdek.

– Co?! To bielawskie krasnoludki istnieją naprawdę!? – zdziwił się Lolek. – A ja myślałem, że to tylko legenda.

– Oj, nie, mój kochany Lolku, to nie legenda! W Bielawie, głęboko pod ziemią znajduje się miasto krasnoludków. My, krasnale, współpracowaliśmy z ludźmi, jednak oni po pewnym czasie stali się dla nas niedobrzy, więc teraz już nigdy się do nich nie odezwiemy. A bielawianie myślą, że opuściliśmy ich piękne miasto na zawsze.

– Ale dlaczego, Fajdku? Przecież nie wszyscy są tacy!

– Jednak my, krasnoludki, uważamy, że wyjątków nie ma! Oczywiście oprócz was – uśmiechnął się Fajdek. – O, tu, to jest jedno z naszych tajemnych wejść do podziemnego miasta krasnoludków – kontynuował.

Znajdowało się ono tuż obok wieży widokowej, potocznie nazywanej „obserwatorem”. Gdy szliśmy tunelami pod ziemią, po chwili spotkaliśmy kolegę Fajdusia, który na początku był bardzo zły na niego za to, że wprowadził ludzi do krasnoludkowego miasta. Fajduś wytłumaczył mu jednak, że jesteśmy jego przyjaciółmi i różniemy się od innych ludzi, i Rufus – bo tak się on nazywał – przywitał się z nami serdecznie i powiedział, że znajdujemy się pod miejskim ratuszem.

– Tu mieści się pałac naszego króla – opowiadał Rufus. – W naszym mieście mamy jeszcze zakład Hogemesst, w którym produkujemy garnce ze złotem. Mamy też szkoły dla przyszłych alchemików. W Krasnolandzie od czterdziestu lat nikt nie płakał, bo jest to szczęśliwa kraina, w której większość czasu spędzamy na zabawie. Rufus wraz z Fajdkiem oprowadzili nas niemal po całym Krasnolandzie. A nam się tak tam spodobało, że zupełnie straciliśmy poczucie czasu i nawet nie wiem, kiedy minęły nam tam dwa dni. Niestety, w tym samym czasie na powierzchni ziemi odbywały się poszukiwania Lolka, Olka, Franka, Kajtka i mnie – oczywiście nie mieliśmy o tym pojęcia.

W sobotę uczyliśmy się wydobywać złoto i je przerabiać, a także stosować jako lek. W niedzielę pracowaliśmy przy miedzi i Kajtek się skaleczył. Julek dużo nauczył się w sobotę, więc wziął złoto, potarł ranę, dał Kajtkowi wywar z miedzi i w niecałą minutę Kajtuś był zdrowy jak ryba. Chłopcom zatęskniło się za domem, ale także pobyt w rajskiej krainie już im się przejadł, więc przeprosili Rufusa i Fajdka za to, że opuszczają Krasnoland. Ci powiedzieli, że mogą wpadać kiedy chcą, i odprowadzili ich pewnym skrótem przez fontannę na miejskim rynku.

Gdy rodzice zobaczyli swoje pociechy, rozplakali się i zapytali, gdzie byli. Chłopcy jednak powiedzieli, że to długa historia i opowiedzą ją kiedy indziej.

Takie oto nasza historia miała zakończenie – było ono jak najbardziej szczęśliwe.

Przejazd przez Bielawę

Bardzo lubię oglądać stare fotografie, szczególnie te, na których są moi przodkowie. Największy zbiór zdjęć naszej rodziny jest w domu mojego pradziadka Alberta. Ostatnio miałem okazję obejrzeć wiele ciekawych zdjęć, ponieważ mój dziadunio, tak mówimy na naszego pradziadka, świętował swoje dziewięćdziesiąte urodziny. Jak na dziewięćdziesięciolatka, dziadunio Albert czuje się świetnie i jest w bardzo dobrej formie. Niejeden młody człowiek pozazdrościłby werwy mojemu dziaduniowi. W domu pradziadka można znaleźć prawdziwe skarby, ciekawe przedmioty oraz piękne albumy, w których przechowywane są fotografie naszej rodziny. Dziadunio to dziadek mojej mamy. Rodzina mojej mamy z dziada pradziada pochodzi z Bielawy. Tu się rodzili i tu umierali. Dziadunio Albert zbiera wszystkie pamiątki rodzinne. Podczas wspomnianego przyjęcia urodzinowego, zmęczony obecnością tylu członków rodziny, postanowiłem wymknąć się do pokoju dziadunia. Na nocnym stoliku leżała jakaś książka i album. Akurat był to album z najstarszymi zdjęciami. Muszę powiedzieć, że dziadunio jest bardzo pedantyczny i nawet zdjęcia w albumie były poukładane chronologicznie. Fotografie były bardzo stare i pożółkłe. Każde zdjęcie miało z tyłu opis. Dziadunio zawsze śmieje się i powtarza: „Jak już będę na tamtym świecie, to kto wam powie, kto jest na zdjęciu?” Dlatego dziadunio Albert opisywał każdą fotografię, aby jego potomkowie wiedzieli, kto jest kim. Kiedy tak sobie przeglądałem ten album, do pokoju wszedł dziadunio.

- O, widzę, kochany wnusiu, że oglądasz zdjęcia.
- Tak, dziadziuniu. Usiądź ze mną, razem pooglądamy.

Oglądaliśmy zdjęcia. Były bardzo ciekawe. Jedno zdjęcie bardzo mnie zainteresowało. Przedstawiało ludzi, którzy stali na jakimś rynku. Na pierwszym planie stało siedmiu chłopców w wieku

szkolnym. Obok nich jakiś pan w fartuchu. Może jakiś kelner? A po lewej stronie chłopiec, który, wydaje się, zmierzał do swoich kolegów. Za chłopcami widać było tłum ludzi.

– Dziadziu, gdzie to zdjęcie było zrobione? – spytałem.

– Nie poznajesz? – odpowiedział dziadunio.

– W Bielawie?

– Oczywiście, że w Bielawie, a dokładnie na bielawskim rynku.

– Chyba kłamiesz – powiedziałem. – Przecież na bielawskim rynku stoi fontanna z sową. A tu sowy nie ma.

– Alanku, musisz wiedzieć, że fontanna z sową później pojawiła się na rynku – jak się nie mylę, to było chyba przed wybuchem wojny. A przedtem w tym miejscu co czwartek odbywał się targ. Do Bielawy zjeżdżali handlarze z całej okolicy. Alanku, przeczytaj, co tam jest napisane na odwrocie.

Na odwrocie było napisane: „Franciszek, Bielawa, Rynek, wiosna 1913 rok”.

– Dziadziu, kto to był Franciszek?

– Franciszek to mój tatuś – zaśmiał się dziadunio. – Zobacz, jaki fajny chłopczyk z niego.

– Gdzie jest twój tatuś? Dziadziu, powiedz mi proszę, dlaczego na tym zdjęciu jest tyle osób? Dlaczego oni tam stali?

– Ale ty zadajesz dużo pytań – uśmiechnął się dziadunio.

– Już ci opowiadam, wszystko po kolei. Chłopiec przy latarni to mój tatuś. Miał wtedy dwanaście lat. Z tym zdjęciem wiąże się bardzo ciekawa i śmieszna historia. Mój tatuś często mi ją opowiadał. Otóż, jak już wiesz, było to wiosną 1913 roku, na pewno w czwartek. Był to bardzo ważny dzień dla miasta Bielawa, które w tamtych czasach nazywało się Langenbielau. Nasze miasto należało wówczas do Niemiec. W tym dniu do Bielawy miał zawitać naczelnik śląskiej prowincji. Czekaj, czekaj – jak on się nazywał? A, już wiem! To był Hans Lauchlan Guenther.

– Co to była ta „prowincja Śląsk”? – zapytałem.

– Była częścią państwa niemieckiego, a jej stolicą był Wrocław. Więc ten główny urzędnik całej prowincji co roku na wiosnę wybierał się do jakiegoś miasta. Dla mieszkańców było to wielkie przeżycie. Każdy chciał zobaczyć najwyższego urzędnika. Wszyscy byli cieka-

wi, jak wygląda, jak jest ubrany, ile ma medali. Wówczas nikt nie słyszał o Internecie. Nikt wtedy nie mógł sprawdzić szybko jakis informacji. Jak się czegoś nie zobaczyło czy nie przeżyło, to nic się nie wiedziało. Głównym celem wizyty było zwiedzanie fabryki założonej przez Christiana Dieriga. Wiesz, kto to był Dierig?

– Nie wiem, dziadziu

– Otóż pan Dierig zbudował w Bielawie fabrykę włókienniczą, zresztą bardzo znaną. Fabryka przetrwała wojnę, komunizm, jednak nie przetrwała dzisiejszych czasów... No, ale nie o tym miałem mówić. Więc ten pan Guenther chciał zobaczyć fabrykę, o której słyszał chyba każdy mieszkaniec Niemiec. Pan Christian Dierig już nie żył, ale fabryką zarządzał jego wnuk, Friedrich junior. Nie za dużo tej historii?

– Nie, dziadziu, opowiadaj dalej.

– Więc jak już mówiłem, na rynku zebrało się dużo ludzi, bo każdy chciał zobaczyć przejazd najwyższych urzędników. Nawet kierownik szkoły puścił dzieci, żeby też mogły zobaczyć Oberpraesidenta, jak nazywano go po niemiecku. Tak ważną uroczystość trzeba było uwiecznić na fotografii. Wówczas w Bielawie nie było fotografa. Do Bielawy musiał przyjechać fotograf z Reichenbachu, czyli z ...?

– No nie wiem – odpowiedziałem.

– Z Dzierżoniowa! Był to znany fotograf, pan Jochen Wintenberg. Przyjechał do Bielawy dużo przed czasem. Chciał zrobić kilka próbnych zdjęć, ustawić aparat. Fotograf chciał, aby na zdjęciu było widać większą panoramę, dlatego postanowił, że wejdzie na dach pobliskiego budynku. Kiedy znalazł się na dachu, położył aparat na krawędzi. Wtedy stało się coś strasznego: podczas rozkładania innych rzeczy nieostrożnie machnął ręką i...

– I co się stało, dziadziu?

– Aparat spadł na ziemię i się bardzo uszkodził. Pan Wintenberg zbiegł na dół, próbował naprawić urządzenie, ale nic już nie mógł zrobić. W tym czasie przejechał orszak z Oberpraesidentem na czele, jednak żadna fotografia nie powstała i, niestety, nikt z potomnych nie zobaczy tej podniosłej uroczystości. Z tej całej imprezy panu Wintenbergowi udało się wywołać tylko to zdjęcie, na którym jest właśnie mój tatuś, a twój prapradziadek. I to cała historia tego

zdjęcia, mój kochany.

– Dziadziu, opowiedz mi jeszcze coś.

– Alanku, już jestem zmęczony. Dziadziuś jest już stary i musi wypocząć. Następnym razem, kiedy mnie odwiedzisz, opowiem ci inne, jeszcze ciekawsze historie...

Pierwsze zdjęcie naszej drużyny

Cześć, jestem Adam. Mieszkam w Langenbielau i mam 10 lat. Razem z moimi najlepszymi kolegami założyliśmy drużynę piłkarską. Dzisiaj mamy zagrać pierwszy mecz z chłopakami ze starszej klasy.

Ja, Ludwik, Kamil, Robert, Franek, Stefan i Mateusz byliśmy nierozłączni. Wszystko robiliśmy zawsze razem i pomagaliśmy sobie nawzajem. Bardzo lubiliśmy piłkę nożną i często graliśmy na podwórku z innymi chłopakami z ulicy. Dobrze nam szło, więc postanowiliśmy założyć drużynę.

Po lekcjach szybko wracaliśmy do domu, żeby się przebrać. Na rynku było dużo ludzi. Niektórzy spacerowali, a inni wracali z fabryki Dieriga do domów albo robili zakupy.

Po drodze spotkaliśmy tatę Franka, który jest fotografem. Jego zakład fotograficzny znajdował się niedaleko. Właśnie wracał do pracy i miał przy sobie aparat fotograficzny. Kiedy dowiedział się, że założyliśmy drużynę, powiedział, że zrobi nam zdjęcie. Kamil i Robert zaczęli się wygłupiać, ale reszta kolegów pozowała spokojnie. Bardzo się cieszyliśmy, bo to było nasze pierwsze wspólne zdjęcie. Franek obiecał, że jak będzie gotowe, to nam je pokaże.

Potem pobiegliśmy jak najszybciej do naszych domów, żeby się nie spóźnić na mecz. Byliśmy pewni, że wygramy.

Zakłęci w czasie

Tego dnia wracaliśmy ze szkoły naszą ferajną, w siedmiu. Przez całą drogę próbowałem się domyślić, po co Hans zwinął ten wskaźnik.

Szliśmy, gaworząc sobie, przez Rynek w Langenbielau, gdzie o tej porze dnia było zawsze całkiem sporo osób. Jedni spacerowali, inni robili zakupy albo po prostu kręcili się koło domu bogatego fabrykanta Dieriga, mając nadzieję, że podpatrzą coś ciekawego. Nagle jakiś jegomość nas zawołał. Nie widzieliśmy go w pierwszej chwili. – Żeby to nie był nasz nauczyciel, bo dostaniemy po łapach za ten wskaźnik! – pomyślałem sobie.

Na szczęście to nie był nasz groźny belfer. Jakiś człowiek chował się pod peleryną doczepioną do drewnianej skrzynki z okularem; to on nas wołał. Kazał nam ustawić się w rzędzie. My – „grzeczni” i bardzo ciekawi nowości oraz żądni przygód chłopcy – posłuchaliśmy go. Stanęliśmy jeden obok drugiego zaciekawieni, co się będzie dalej działo. Inni znajdujący się na Rynku przechodnie także zainteresowali się tym dziwnym jegomościem pod czarną chustą. Ludzie przystanęli i obserwowali, co nastąpi. Nagle usłyszeliśmy krzyk. To Jurgen nas wołał, biegnąc od strony kościoła. Był już przy latarni, kiedy zobaczyliśmy błysk. Zakręciło nam się w głowach, ale po chwili wszystko ustało. Tajemniczy jegomość odsłonił chustę, pod którą się krył, i okazało się, że to dziadek Hansa! Wtedy kątem oka dostrzegłem tę dobrze znaną czarną muszkę pod szyją naszego pedagoga! Nauczyciel biegł do nas zdyszany. Zdążyłem jeszcze ostrzec chłopaków i puścić się pędem w kierunku dziadka Hansa. Reszta pobiegła za mną. Gdy wszyscy skryliśmy się za plecami starszego pana, poczuliśmy się bezpiecznie. Dziadek zaczął negocjować z naszym wychowawcą. Opowiadał mu, że widział na własne oczy, jak jego wnuk, podnosił kijaszka z ziemi obok straganu. Po paru minutach było już po sprawie i naburmuszony belfer opuścił Rynek.

Starszy pan odwrócił się do nas i zapytał:

– Masz to?

Hans posłusznie podał mu kijek. Dziadek pogrzebał wskaźnikiem w dziurce pod okularem ze skrzynki; po chwili zaprosił nas pod pelerynę i pokazał nam błyszczącą kliszę, na której, jakimś cudem, znajdowało się odbicie tego, co działo się przed chwilą na Rynku, i oczywiście chłopcy z naszej ferajny na pierwszym planie. Wtedy zauważyłem także, iż był tam ktoś jeszcze... W odległości jakichś pięciu stóp od nas stał Szarlej! Nazywaliśmy go tak, ponieważ miał fioła na punkcie swojego praprapraprapradziadka, który kazał właśnie Szarlejem się zwać. Nie mogłem w to uwierzyć, bo on wyjechał przecież trzy miesiące temu z rodziną do Konstantynopola. Jednak rzeczywiście Szarlej tam stał. Zamrugąłem i jeszcze raz spojrzałem na fotografię: naszego kolegi już tam nie było. Może mi się wydawało? Tym razem uważniej przypatrzyłem się utrwalomu na kliszy obrazkowi i zobaczyłem stojącego w oddali starego Bruna. Wskazywał on na nauczyciela podążającego w naszym kierunku. Pocziwy staruszek próbował nas ostrzec. Za takie akcje właśnie go lubiłem. Słyszałem, że jak był młody, mieszkał w okolicach zamczyska Czocho, jednak przeprowadził się do Langenbielau z miłości do pięknej Adeli.

Zapytaliśmy dziadka naszego kolegi, jak to się stało, że znaleźliśmy się na tym obrazku. Odpowiedział nam, iż zatrzymał właśnie czas i ta chwila będzie trwać nawet wtedy, kiedy nas już nie będzie. Byliśmy ciekawi, po co to wszystko robi. Fotograf odpowiedział, że być może za sto lat, ktoś napisze o nas opowiadanie. Wszyscy roześmialiśmy się, mówiąc, że z nas żartuje, i pobiegliśmy w górę miasta. Ja jednak odwróciłem się na chwilę do tyłu i spojrzałem na starszego pana. Zapamiętałem jego tajemnicze spojrzenie. Jakby o czymś wiedział...

...I znowu poczułam smak wolności, ten cudowny unoszący się w powietrzu aromat podrażnił mój nos i stało się...

Boże, gdzie ja jestem? Zapytałam sama siebie, to niemożliwe, to jakaś magia, kosmos!!!

Ci wszyscy ludzie, ten gwar! Ale zaraz, zaraz... znam to miejsce. Przecież to moje miasto Bielawa, plac Wolności. Doskonale mi znany, tylko trochę inny: inne budynki – jak z opowieści czy filmu – i fontanna... No właśnie: fontanna! A gdzie jest fontanna?! Coś mi tu nie pasuje! I dlaczego wszyscy mówią w dziwnym języku? Znam ten język! Wszystko rozumiem, co mówią! O co chodzi...? Obleciał mnie strach. Co ja tutaj robię? Gdzie jest moja mama?

Patrzę na siebie... Ha ha! Ale śmiesznie wyglądam! Co ja mam na sobie?

Nagle ktoś chwyta mnie za rękę. Spoglądam i widzę przed sobą ładnego chłopca w moim wieku.

– Chodź, chodź za mną – i ciągnie mnie w kierunku straganów. Przedzieramy się przez różne stoiska, stragany. Patrzę na ten cały targ. Odbiega całkiem od tego, gdzie chodzę z mamą na zakupy. To wszystko jak z muzeum. Zatrzymujemy się przy jednym ze stoisk.

– Zobacz, jakie fajne! – krzyczy chłopiec, pokazując mi zabawki. – Która ci się podoba? Bo mnie ten bębenek! Mama mi kupi. – Wiesz, będę grał! Jutro przyniosę do szkoły, będzie fajnie! Jestem Hans – podaje mi rękę. – Ale ze mnie gapa, nie przedstawiłem się! A ty chyba jesteś nowa, nie widziałem cię tu nigdy?

„Wiesz, mieszkam tu od zawsze” – uśmiecham się w myślach.

– Aleksandra – mówię. – Tak mam na imię, ale wolę zdrobnienie, Ola.

– Ładne to twoje imię. Podoba mi się. Chodź, pokażę ci mój dom! – bierze mnie za rękę i idziemy.

Kocham to miasto, mogę całymi dniami chodzić i je zwiedzać. Idziemy w stronę górnej Bielawy. Mijamy budynki. Takie same, a jednak inne, obce. Czuję się, jak w krainie baśni. Moje miasto,

a zarazem nie moje – takie odległe, zaczarowane, magiczne. Ludzie uśmiechają się do nas z serdecznością. Wszędzie gwarno, głośno. Przemierzamy ulice. „To okolice jeziora” – analizuję w myślach naszą trasę. „Tak, to powinno być tu niedaleko. Jeszcze kawałek i zobaczą moje jezioro”. Zaczynamy iść szybciej. Hans cały czas patrzy na mnie. Muszę wyglądać dziwnie.

Jesteśmy na wielkiej łące. Moja mina mówi sama za siebie. Gdzie jezioro? Powinno być w tym miejscu. Dobrze, że chociaż góry są tam, gdzie były. Moje najcudowniejsze góry. Przeszłam je chyba całe. Tak, są. Stoją prawie przede mną i wyglądają, jakby chciały mi coś powiedzieć. Pewnie kryją ogromne tajemnice.

Biegamy z Hansem po trawie. Ale fajnie, błogo, nie muszę odrabiać lekcji, mama mnie nie szuka! Jestem tylko ja i moja Bielawa! Słońce zaczęło się chylić ku zachodowi. Pora kończyć harce i kontynuować wędrówkę. Powoli zbieramy się i ruszamy dalej. Skręcamy w małą uliczkę. Przecież to ulica Kasztanowa! Przede mną widzę dom moich dziadków.

– Tutaj mieszkam – mówi Hans, otwierając furtkę.

Wchodzimy do znanego mi miejsca: to tutaj spędziłam moje wczesne dzieciństwo. Jak tu wesoło! Widzę całą rodzinę Hansa.

I nagle wszystko zniknęło. Zaczęłam się rozglądać. Gdzie jestem? Znowu inna bajka? Ale nie! To dom moich dziadków! Gdzie Hans? Szukałam wzrokiem mojego kolegi. Niestety, nie znalazłam go. Czy jeszcze kiedyś zobaczę? Obok zaś siedzi moja babcia.

– Babciu, babciu! – mówię z entuzjazmem – ale miałam sen! Wiesz?! Byłam w tym domu z moim kolegą, widziałam jego rodziców...

– Wiem, kochanie – odpowiada babcia, odkładając kroniki Bielawy...

Przygody Leona i paczki

Dobra, dobra... Ja – to ten ostatni i najniższy, jak zwykle... Mieszkam w niewielkiej miejscowości Langenbielau.

Przejdźmy jednak do rzeczy. Jestem tam z kolegami. Imiona wymieniac będę po kolei. Ten najwyższy to Antek. Gość nawet spoko, ale często nas denerwuje. Później Kamil, ale wszyscy wołamy na niego Manil, bo mamy taki kaprys, albo coś w ten deseń. Kolejny to Wojtek, inaczej Wojtechu. Ogólnie Wojtechu jest strasznym kablem. Z tym, co zobaczy, a co jest niedozwolone, od razu leci do pani. Kabel straszny z niego! Następny jest Marcin. Dobry z niego kolega... A tak między nami – to mój najlepszy przyjaciel na świecie! A ten koło mnie to zwykły prymus o imieniu Mateusz. A ja jestem Leon – po prostu Leo.

Pewnego razu bawiliśmy się z kolegami, biegając po rynku. Przy tej zabawie Manil, czyli Kamil, przypadkowo wpadł w kupca z jabłkami. Ten kupiec mocno się hmm... zdenerwował, bo wszystkie jabłka się wyturlały; każde w inną stronę. Ale nie Manilowi się oberwało, tylko nam, pozostałym. Musieliśmy znaleźć i umyć te jabłka albo za nie zapłacić.

Wybraliśmy to pierwsze...

Po robocie byliśmy bardzo zmęczeni, więc poszliśmy usiąść koło fontanny. I wtedy Antkowi wpadł nagle do głowy świetny pomysł, by okraść fontannę, czyli wziąć z niej trochę pieniędzy, które ludzie tam wrzucają. Wszyscy się zgodzili – oczywiście oprócz Wojtka. Wojtechu, kabel jeden, nigdy się na nic nie zgadzał. Chłopaki więc mu pogrozili, że jeśli komuś powie, to pożałuje. Wojtechu przestraszył się i siedział cicho, kiedy chłopaki kradli. A ja pilnowałem go na wypadek, gdyby chciał zwiąć i komuś o wszystkim opowiedzieć.

Później poszliśmy na ubocze i liczyliśmy zdobyte pieniądze. Niestety, nie potrwało to za długo, bo idący policjant zatrzymał nas i odebrał nam całą naszą „zdobycz”. To znaczy nie tyle odebrał, co

kazał nam wrzucić wszystkie monety z powrotem do fontanny.

Rozeszliśmy się rozczarowani do domów. Gdy wróciłem do siebie, a daleko nie mieszkalem, po zapachach w domu odniosłem wrażenie, że chyba czeka na mnie pyszny obiadek. Już chciałem siadać do stołu, tymczasem mama powstrzymała mnie w ostatniej chwili. Powiedziała, że mam poczekać, bo o 17.00 przyjdą goście. Zerknąłem na zegarek. Była dopiero 13.00. Zawiedziony poszedłem do pokoju. Tam czekała na mnie niemiła niespodzianka. Najgorszy koszmar świata – moja denerwująca kuzynka Lena. Lena przyjeżdżała do nas raz w roku. Szybko pobiegłem do mamy i po cichu, choć z gniewem w głosie, zapytałem: „Co ona tutaj robi?!”. Mama odpowiedziała spokojnie, że zapomniała mi wspomnieć o tym, że Lenka z cicią Agą do nas przyjadą.

No dobrze. Przeciwnie niż Lenę, bardzo lubiłem cicię.

O siedemnastej zjedliśmy przepyszny obiad. Ja, mama, tata, cicia i Lena. Jej, jak ona mnie wkurzała! Musiałem to jednak jakoś przeżyć.

Następnego dnia poszliśmy z chłopakami na umówione miejsce, czyli na rynek. Był ranek, więc nie było nikogo. Manil oznajmił, że robi imprezę i nas zaprasza. Obgadaliśmy razem wszystkie szczegóły i poszliśmy do domu zapytać rodziców. Każdy z nich się zgodził, oprócz mojej mamy. Powiedziała, że jest w domu Lenka i nie mogę iść sam. Tata na początku protestował, ale jak mama coś powie, to klamka już zapadła. Koniec, kropka!

Nastał wieczór. Lada chwila miała się zacząć impreza. Rozmyślałem, jak to fajnie by było, gdybym jednak poszedł. W końcu, po dłuższym namyśle, po prostu zwałem przez okno. Bawiłem się świetnie, ale kiedy wróciłem, już tak wesoło nie było. Mama szybko się zorientowała, że mnie nie ma i było pozamiatane. Dostałem karę: przez cały tydzień zakaz wychodzenia. Dodatkowo codziennie do szkoły i ze szkoły pod eskortą mamy. Zadowolony nie byłem, poza tym przecież wstyd jak lichy – no ale co poradzić.

Tydzień później

Nareszcie wolność! – krzyknąłem i pobiegłem spotkać się z chłopakami.

Znów biegaliśmy po całym rynku, wariując i szukając okazji do

żartów. Zrobiliśmy nawet psikusa panu Braunowi – tak nazywaliśmy pewnego staruszka z długą brodą. Tak naprawdę ów kawał wcale nie był dla niego śmieszny. Za to my mieliśmy ubaw. Śmiało się z tego cały dzień. Chodziło o to, że pan Braun ma swoje ulubione krzesło. Siedzi na nim całymi dniami, pilnując, by nikt nie stwarzał problemów. Kilka razy nas już przeganiał, ale nic sobie z tego nie robiliśmy. Dlatego dziś Wojtechu odwrócił jego uwagę, a my nalaliśmy na krzesło mega mocnego kleju. Kiedy staruszek na nim usiadł, nie mógł się już odkleić. Robiliśmy tyle psikusów na jego oczach, a on albo wstawał razem z krzesłem, albo krzyczał, żeby go odkleić!

Minął kolejny dzień. Chcieliśmy z Marcinem coś sprawdzić, bo ostatnio z pomieszczenia obok sklepu z zabawkami strasznie śmierdziało. Zakradliśmy się więc po cichu. To, co zobaczyliśmy, okazało się koszmarem. Najgorszy widok, jaki można sobie wyobrazić! Przez okno zobaczyliśmy, jak właścicielka sklepu zabijała zwierzęta na mięso i skórę!

Przerażeni uciekliśmy stamtąd i obiecaliśmy, że nikomu nie powiemy. Nie było to takie proste, bo chłopcy, widząc, że jesteśmy zdenerwowani, od razu zaczęli coś podejrzewać. Kiedy zaczęli nas wypytywać, nie mogliśmy wytrzymać presji i opowiedzieliśmy wszystko.

Przez wiele dni baliśmy się tej kobiety, że może zrobić nam krzywdę.

W końcu Wojtechu nie wytrzymał i opowiedział wszystko policjantowi. Temu samemu, który złapał nas na wyciąganiu pieniędzy z fontanny. Policjant potraktował to poważnie i zaczęło się śledztwo. Okazało się, że w okolicy giną domowe zwierzęta wypuszczane na spacer.

Policjanci podczas przeszukania znaleźli zwierzęce mięso oraz skórki i futerka, a także ślady krwi. Kobieta w końcu została skazana za znęcanie się nad zwierzętami...

My tymczasem wyrzuciliśmy Wojtecha z naszej paczki. Mieliśmy już dosyć jego ciąglego kablowania.

Oczywiście ja z Marcinem zostaliśmy bohaterami. Ale nie tak od razu. Najpierw dostaliśmy karę od naszych rodziców za wyrzucenie

Wojtka z paczki oraz porządny ochrzan od policjanta, bo powinniśmy coś takiego od razu zgłosić.

Wygląda na to, że to właśnie Wojtechu, ten kabel jeden, był mądrzejszy od nas, bo postąpił właściwie. A my go za to jeszcze ukaraliśmy! Zrobiło się nam głupio. Przyjęliśmy go więc chętnie z powrotem i odtąd jest już wszystko w porządku.

Najlepsi przyjaciele

W latach dwudziestych nasz rynek był miejscem spotkań naszych bohaterów. Jarosław, Mirosław, Jan, Przemysław, Dobiesław, Broniek i Antoni byli najlepszymi przyjaciółmi. Poznali się w pierwszej klasie podstawówki i całe swoje życie opierali na wielkiej przyjaźni. Zawsze mogli na siebie liczyć w trudnych sytuacjach. Po szkole spotykali się na bielawskim rynku, gdzie codziennie wymyślali nową zabawę. Nigdy nie nudzili się w swoim towarzystwie.

Niedaleko rynku znajdowała się stacja kolejowa. Pociąg, który kursował przez Langenbielau, był fantastyczną atrakcją dla naszych bohaterów. Pewnego dnia jeden z chłopców zaproponował przejazdkę pociągiem na bielawskie jezioro. Jarek, bo o nim mowa, lubił tego typu zabawy. Zawsze pakował się w kłopoty, z których reszta przyjaciół musiała go wyciągać. Tego dnia, czepiając się wagonu pociągu, uderzył tornistrem jednego ze swoich kolegów, a ten, upadając, złamał sobie rękę. Upadłszy na ostre kamienie, uszkodził sobie także kolano. Koledzy, widząc to zdarzenie, obawiali się najgorszego. Jarek już wiedział, że to nie był najlepszy pomysł, i żeby pomóc Jankowi zabrał go do szpitala w Langenbielau, otwartego w 1901 roku. Reszta chłopców także towarzyszyła przyjacielowi. Po dokładnym zbadaniu, lekarz wypisał go do domu. Dla niektórych ta przygoda była solidną nauką. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło i chłopcy nadal mogli się razem spotykać.

Pewnego słonecznego dnia Broniek i Antek zauważyli na rynku dużą grupę ludzi dyskutujących na jakiś temat. Ciekawość ich zjadała i nie mogli się doczekać, kiedy uda się im dopchać do tłumu. Gdy dotarli do celu, zamarli. Powodem tego był samochód. Jak się okazało, był to pierwszy pojazd w Langenbielau. Chłopcy byli pod takim wrażeniem, że nie spali całą noc. Nie mogli się doczekać, kiedy opowiedzą o tym kolegom. Nazajutrz buzie im się nie zamykały. Opowiadali o tym samochodzie z tak wielką radością i satysfakcją,

że na miejscu okazało się, że Broniek zapomniał drugiego śniadania. Przemek był jednak zawsze przygotowany i nosił jedną zapasową bułkę. Jarek nie wierzył kolegom w to, co mówili. Twierdził, że sobie to wymyślili tylko po to, żeby zwrócić na siebie uwagę. Chłopcy jednak chcieli mu udowodnić, że nie kłamią i postanowili po lekcjach iść na rynek. Czekali całe popołudnie i nic. Zaczęli powoli wątpić, czy samochód się pojawi. Nagle, gdy mieli już wracać do domu, na jedno z pobliskich podwórek wjechało auto. Jarek był zaskoczony, że koledzy nie kłamią i że ten samochód istnieje.

Dobiesław był bardzo nieśmiałym chłopcem i bardzo cicho szepnął do Bronka, że bardzo chciałby przejechać się tym pojazdem. Broniek wpadł na pomysł i wymyślił historię o chorym koledze tylko po to, żeby mężczyzna zgodził się przewieźć chłopca autem. Plan się powiódł.

Tak mijały kolejne dni, a nasi bohaterowie zmieniali się z małych chłopców w silnych mężczyzn. Teraz, gdy znajdą tylko chwilę, idą na rynek i wspominają te wspaniałe czasy.

Pieniądze w mieście Langenbielau

Jasne światło gładko spływało po przysadzistych, wyremontowanych domach, barwiąc białe na pomarańczowo, a szarym nadając swoiste ciepło. Smutne, przygaszone niebo kontrastowało z kolorowymi domostwami. Wszystko wydawało się zachowywać spokój oraz harmonię. To miał być jeden z piękniejszych dni w mojej karierze. Jednak coś było nie tak. Czułem to wyraźnie. Takie dni jak te zawsze są najgorsze. Sprawiają wrażenie pięknych i dających nadzieję, a gdy już czujesz się szczęśliwy, to właśnie wtedy zło ma okropny zwyczaj wychodzenia ze swoich zakamarków. Spojrzałem na zegarek. Dochodziła 6.30.

Byłem coraz bliżej celu, gdy moje nogi odmówiły posłuszeństwa. Poczułem się dziwnie. Jakiś wewnętrzny niepokój ogarnął mą duszę, jednocześnie wysyłając do głowy komunikat: „Nie wchodź tam”. Jednak musiałem. „Musiałem” w tym wypadku nie było najlepszym słowem opisującym sytuację, w jakiej się znajdowałem. Ja po prostu nie miałem wyboru.

Ruszyłem w stronę starego budynku z czerwonej cegły. Komenda policji nigdy nie kojarzyła się ludziom z czymś dobrym. Jednak jako małe dziecko, marząc o tym zawodzie, miałem nadzieję, że będę stał na straży prawa – pomagał biednym i karał przestępców. Można powiedzieć, że w tej dziedzinie wiele się zmieniło. Od 1915 moja osoba kojarzyła się raczej z problemami i zagadkami nie do wyjaśnienia...

Otworzyłem jasne drzwi i wszedłem do swojego gabinetu. W małym pomieszczeniu znajdowało się ogromne hebanowe biurko obłożone raportami i wnioskami, które miałem wypełnić już jakiś czas temu. Obok niego stała metalowa szafka, w której przechowywałem ważniejsze dokumenty, jak te dotyczące kradzieży oraz teczki pełne niedokończonych spraw, które zostawili moi poprzednicy.

Ściany były szare i gołe. Nie wisiały na nich żadne zdjęcia, plakaty z banalnymi hasłami czy nawet krzyż. Wszystko wyglądało dość ponuro i przygnębiająco. Jednak coś się zmieniło – coś, co od razu przykuło moją uwagę. Była to cienka, żółta teczka, zawierająca w sobie jedną kartkę, która – jak się potem okazało – zmieniła całe moje życie...

Jechałem dorozką do centrum miasta, gdzie miałem spotkać się z policjantem prowadzącym pewną sprawę. Droga nie należała do najdłuższych, mimo to wyraźnie poczułem nadchodzące zmiany. Niebo szerniało, ptaki umilkły, słońce jakby w pokorze ukryło się między chmurami. Miałem okazję przyglądać się ludziom śpieszącym do pracy czy dzieciom biegnącym do szkoły. Ich obojętność była przerażająca. Nie wydawali żadnego dźwięku, a na ich twarzach widniał pośepny grymas. Trzeba przyznać, że to dość rzadki widok we wsi, gdzie z reguły wszyscy są szczęśliwi.

Byłem już prawie u celu, gdy dostrzegłem swojego towarzysza, ubranego w czarny płaszcz i lniane spodnie. Na łysej głowie miał jasnobrązowy kapelusz. Ryszard Raczynj palił właśnie papierosa. Podszedłem bliżej. Na jego czerwonej twarzy pełnej zmarszczek malował się ogromny uśmiech, częściowo przysłonięty siwym wąsem. Był chyba jedyną uśmiechniętą osobą, którą spotkałem dzisiejszego dnia.

– Witaj, Gregory. Przepraszam, że niepokoję cię o tak wczesnej porze... – mówiąc to spojrział na zegarek: była 9.00. – Jednak mamy dość nietypową sytuację i potrzebujemy twojej pomocy. Delikatnie kiwnąłem głową i posłałem ledwo widoczny uśmiech. Nie byłem w nastroju do rozmów, więc od razu przeszliśmy do konkretów. Raczynj zaprowadził mnie do budynku obok, a po drodze zreferował sprawę, którą właśnie miałem się zająć.

W seledynowym pokoju stała wysoka kobieta, której kasztanowe włosy miękko opadały na klatkę piersiową, gdzie wisiał złoty naszyjnik, ledwo widoczny pod białą koszulą. Jej długie nogi okryte były czarną spódnicą, która dziwnie marszczyła się przy końcu.

Spojrzałem w kierunku niedoskonałości. Dopiero teraz zauważyłem chłopca. Wyglądał na 9, może 10 lat. Sprawiał wrażenie osoby, której można zaufać. Jego twarz była blada i kolorem przypominała jedną z tych niedokończonych ścian w męskiej toalecie na komin-dzie. Usta miał wąskie i pozbawione koloru. Jedyne, co odznaczało się na tej chudej, przeciętnej twarzy, to oczy. Duże, błękitne oczy, kolorem przypominające niebo w wakacyjny dzień.

Niestety, o wakacjach mógł tylko pomarzyć...

Niespodziewanie odezwał się policjant:

– Niech się pani nie martwi, porozmawiamy tylko z chłopcem... Na osobności. Proszę, aby opuściła pani pokój – powiedział łagodnie, ale w jego głosie można było usłyszeć stanowczość.

– Dobrze... proszę jednak być delikatnym. To mały chłopiec i nie zrobił nic złego – odchrząknęła.

A ja już wiedziałem, że z tym dzieckiem będzie wiele problemów.

Zostałem z nim sam na sam. Raczyj poszedł z matką chłopca. Jak na tak drobną osobkę wydawała się bardzo niespokojna i nerwowa. Zrobiło mi się żal, gdy pomyślałem o tym, jak wygląda atmosfera w domu, gdy chłopiec coś nabroi. Nie mogłem dłużej rozmyślać o tej dziwnej rodzinie. Miałem zadanie do wykonania, mimo że nawet nie wiedziałem, jak się nazywa osoba stojąca przede mną.

– Jestem Gregory Maczurek – przedstawiłem się i kucnąłem, by spojrzeć w oczy dziecka. – Jak się nazywasz?

– Alfred.

– Nazwisko?

– Ubieszyński.

– Więc, Alfredzie Ubieszyński, co się stało? Czego chce od ciebie policja?

– Niech pan mi powie. Nie zrobiłem nic złego.

– A co zrobiłeś?

– Nic – wyglądał na pewnego siebie i dobrze wiedziałem, że nic nie powie. Przynajmniej w domu. Tu czuł się bezpiecznie.

– Rozumiem, że nie chcesz mówić, i że to, co zrobiłeś, pewnie nie

jest warte naszego czasu, ale obowiązek to obowiązek, mój drogi chłopcze, więc mam nadzieję, że nie będziesz miał mi za złe, jeśli zaproszę cię na komendę.

Jego twarz się zmarszczyła, wyglądał tak, jakby intensywnie myślał. Weszliśmy do kuchni, gdzie Raczyj rozmawiał z panią domu. Od razu było widać, że należała do tej części społeczeństwa, która nie wie, kiedy jej dzieci schodzą na złą drogę. Posłałem jej szybkie, nic nieznaczące spojrzenie i skierowałem się w stronę wyjścia. Zanim wyszedłem, ostatni raz rozejrzałem się po mieszkaniu.

Alfred siedział na krześle obok dyżurnego i czekał, aż zaproszę go do gabinetu. Nie chciałem z nim rozmawiać, zanim nie przekażę ważnej informacji Ryszardowi.

– Dlaczego mnie wezwałeś?

– Chciałbym tylko zapytać, czy nie zauważyłeś niczego niepokojącego w mieszkaniu Ubieszńskiego?

– Raczej... nie... – jąkał się, a twarz oblała się purpurą. – A ty? Zauważyłeś coś niepokojącego?

Skinałem nieznacznie głową.

– Co? No mówże!

– W domu panował nienaganny porządek, wręcz niepokojący. Nie mówię tutaj o całym mieszkaniu, ale o pokoju chłopca. Długo przyglądałem się półkom i nie było na nich ani grama kurzu. Zabawki i książki idealnie ułożone na biurku i szafkach. Podłoga była starannie zamieciona, a łóżko pościelone. Zauważyłem dziwną wypustkę na poduszce. Tak nie wygląda pokój małego rozrabiaki.

– Może mama kazała mu posprzątać?

– Nie bądź niemądry! Było jeszcze okno. Otwarte, rzecz jasna. Firanka, a raczej żółta zasłona, była porwana, czyli okno zostało otwarte w pośpiechu. Gdy wychodziliśmy z domu, zerknąłem na chodnik, pod którym znajdowało się okno.

– Zauważyłeś coś?

– Można tak powiedzieć. O ile to miało związek z chłopcem, to tak.

– Co to było?

– Duża ilość małych kamyczków. Tylko pod jego oknem, więc możemy zakładać, że ktoś rzucił lub strzelał z procy w okno. Czyli nie był sam – Ryszard mruknął znacząco i wyszedł z pokoju.

Nie zostałem długo sam, gdyż chwilę potem do gabinetu wszedł Alfred. Nie wyglądał już na tak pewnego siebie jak wcześniej, ale zdawałem sobie sprawę, że nie będzie mówić, jeśli ma coś na sumieniu. Kazałem mu usiąść naprzeciwko mnie. Usta koloru śniegu były mocno zaciśnięte.

– Nie mamy za dużo czasu, więc przejdźmy do rzeczy. Co robiłeś w nocy 14 września? I nie mów mi, że spałeś, ponieważ twoja matka zgłaszała zaginięcie.

Nie odpowiedział. Głucha, niezręczna cisza wypełniała pokój. Nie miałem czasu na zabawę. Udałem, że coś notuję i zadałem kolejne pytanie.

– Mam rozumieć, że nie było cię w domu. Zatem gdzie byłeś?
Znów odpowiedziało mi milczenie.

– To w takim razie z kim byłeś?

Mój głos nie należał już do najprzyjemniejszych. Wiedziałem o tym dobrze, ponieważ niebieskie tęczęwki chłopca przybrały ciemniejszy kolor, dolna warga zaczęła drżeć, a głowa zwisała nisko. Nie oczekiwałem odpowiedzi, jednak...

– Z kolegami – powiedział chrapliwym głosem. – Byłem z kolegami na dworze.

– Ilu was było i jak się nazywają?

– Siedem osób, w tym ja. Martin, Thomas, Peter, Roman, Stephan i Matthias.

– Co tam robiliście?

– To może ja wszystko opowiem?

Skinałem głowę.

– Był dzień targowy. Jak zwykle, po szkole przechadzaliśmy się z chłopcami po rynku. Świeciło słońce i było ciepło, więc mieliśmy nadzieję na dobrą zabawę. Siedzieliśmy na chodniku na rogu ulicy i przyglądaliśmy się przechodzącym ludziom. Graliśmy w grę „Rozpoznaj po ubiorze”. Gra nie jest specjalnie trudna. Patrzymy na przypadkowych ludzi, oceniamy ich postawę oraz ubiór i zgadujemy, kim mogą być z zawodu. Pan coś na ten temat wie, praw-

da? – Zanim zdążyłem odpowiedzieć, chłopiec ciągnął dalej. – Jednakże gra szybko nam się znudziła. W Bielawie nie ma wielu ludzi, a co za tym idzie, większość odpowiedzi znamy na pamięć, więc to żadna zabawa. Postanowiliśmy zrobić coś nowego, ale tak, by nie przeszkadzać innym, ponieważ pan Rudolf, który na targu sprzedaje najlepsze dzemy domowej produkcji – przynajmniej tak mówi mama – szybko się denerwuje. Więc wymyśliliśmy: postanowiliśmy liczyć kostki brukowe na rynku. Żmudna i długa praca. Jak się potem okazało, nie należała do najciekawszych. Tego dnia rozpierała nas energia, więc praca umysłowa musiała ustąpić miejsca zabawie. Szybko pobiegliśmy na stację kolejową, gdzie rosły różnego rodzaju krzewy i drzewa. Zerwaliśmy gałęzie i wróciliśmy na rynek, gdzie bawiliśmy się w rycerzy. Robiło się już ciemno, kiedy między straganami pojawiła się nowa postać. Tym razem nie było czasu na grę – od razu musieliśmy wiedzieć, kim jest nowo przybyła osoba. Rozdzieliliśmy się. Martin i Thomas poszli do starszej pani sprzedającej grzyby, Peter i Roman na prawo – popytałem znajomych, Stephan i Matthias na lewo. Zostałem sam. Nie chciałem podążać za kolegami, więc ruszyłem bezpośrednio za nieznanym. Żałuję tego, co zobaczyłem.

– Co zobaczyłeś?

W jego oczach pojawiły się świetliki.

– Pieniądze. Dużą ilość pieniędzy w czarnej torbie. Na początku pomyślałem, że ten pan musi dużo zarabiać, ale z drugiej strony: czego taka osoba szukałaby w Bielawie? Skorzystałem z okazji i zabrałem torbę, gdy nikt nie patrzył.

Nie mogłem uwierzyć w to, co mówi ten chłopiec. Miałem podejrzenia, że zmyśla i wykorzystuje swoje umiejętności manipulacji.

– Czy koledzy o tym wiedzą?

– Nie. Nie chciałem im powiedzieć, ponieważ bałem się, że będą chcieli wziąć pieniądze dla siebie, mimo że nie były ich własnością.

– Więc co zrobiłeś z pieniędzmi?

– Schowałem.

– Gdzie?

– Na rynku.

Nie wierzyłem mu. Nie było gdzie schować takiej ilości pienięd-

dzy, gdyż rynek był pustym placem z nielicznymi restauracjami i kawiarniami.

– Pokażesz mi? – zapytałem.

Skinął głową.

Chłodny wiatr owiewał nasze twarze przez całą drogę. Rzuciłem okiem na szary zarys rynku i nie zauważyłem niczego nadzwyczajnego. Myślałem, że będziemy czekać na odpowiednią chwilę, aż wszyscy pójdą, jednak chłopiec ruszył przed siebie pewnym krokiem i na głos odliczył do dziesięciu. Po chwili zatrzymał się na krawężniku. Nie byłem pewien, co mam zrobić.

– I co teraz? Zakopałeś te pieniądze?

– Nie – pokazał ręką na drzewo, które znajdowało się dokładnie nad nami. – Pieniądze są tam. Niech pan poczeka, to je zniosę.

Nie kłamał. Czarna torba była dobrze widoczna, nawet z tej odległości. Alfred szybko wspiął się na drzewo i rzucił mi ciężki bagaż. Z ciekawości zajrzałem do środka: torba była po brzegi wypełniona pieniędzmi.

Ruszyliśmy w stronę komisariatu. Zabawne było to, jak wielu problemów może przysporzyć taki chłopiec. Czekały mnie długie godziny wypełniania formularzy. Przyznam, że nie jest to moje ulubione zajęcie, jednak nie mam co narzekać – sprawa rozwiązała się sama. Zastanawiałem się tylko, co dalej. Należy pewnie rozpoznać wszelkie tajemnicze sprawy związane z kradzieżami, oszustwami, rozbojami, zrobić zasadzkę na tajemniczego gościa, odnaleźć właściciela pieniędzy... Moje biurko w najbliższym czasie pokryje się kolejną warstwą papierów... Ech...

Dochodząc do budynku komisariatu miałem mieszane uczucia. Ile to miasto jest w stanie przed nami ukryć, skoro tak młody chłopiec przechował na rynku tyle pieniędzy? Tego jednak nie będzie dane mi odkryć. Moje rozmyślania przerwał cichy głos.

– Co teraz będzie ze mną i z pieniędzmi?

– Sprawę przełożymy wyższej instancji, a ty jesteś wolny.

– Czyli nie mam żadnych problemów?

– Nie, wręcz przeciwnie: powinieneś być z siebie dumny, że tak sprytnie schowałeś pieniądze. Przez kilkanaście dni ludzie omijali fortunę!

– Dziękuję panu.

Już chciał odejść, gdy złapałem go za ramię. Jedna rzecz nie dawała mi spokoju.

– Ile kostek naliczyliście?

– 2194, proszę pana, w samym rynku! – i odszedł...

Historia o bohaterskim chłopcu

Dawno temu na bielawski rynek wyszedł chłopiec o imieniu Eustachy, którego nie lubił prawie nikt. Chłopiec miał tylko jedną koleżankę, o imieniu Ola, ta zaś była lubiana przez wszystkich. Eustachy spacerował po rynku wieczorem, ponieważ myślał, że nie będzie chłopaków, którzy się z niego śmiali. Chłopiec się jednak pomylił i natknął się na nich. Chłopcy poprowadzili go na ścianę i zaczęli wyzywać i popychać. Eustachy wreszcie nie wytrzymał i uderzył najstarszego z nich – Franka. Franek popatrzył na niego z nienawiścią w oczach i mu oddał, a później dołączyła się reszta. Wtedy do chłopców podbiegła Ola. Wszyscy uciekli i zostawili Eustachego. Ola podeszła do niego i zapytała, czy nic mu nie jest, a on tylko pokijał głową i pobiegł do domu z płaczem. Na następny dzień znowu się spotkali, ale tym razem atmosfera była miłsza niż ostatnim razem. Eustachy powiedział:

– Przepraszam za wczoraj, powinienem ci podziękować.

Ola na to:

– Nic się nie stało.

Przytulili się i usiedli przy fontannie. Eustachy wyciągnął z kieszeni grosz, wrzucił go do fontanny i powiedział:

– Chciałbym, aby wreszcie dali mi spokój.

Ola, widząc to, zapytała:

– Ty wierzysz w to?

Eustachy ze zdziwieniem zapytał:

– W co?

– W to, że jak wrzuci się monetę do fontanny, to można mieć szczęście.

– Oczywiście. A ty nie?

– Dla mnie to są zwykłe zabobony.

Nastała cisza. Nagle chłopak coś zobaczył. Na ławce leżała kartka z sową. Ola powiedziała z zachwytem:

– Jaki ładny rysunek!

Eustachy chciał sięgnąć po ten rysunek, ale zauważył Franka z całą bandą chłopaków, więc pożegnał się z dziewczyną i uciekł do domu.

Kolejnego dnia poszedł na rynek po południu – wtedy, kiedy jest dużo ludzi i bryczek. Chciał dać Oli rysunek, który narysował specjalnie dla niej. Nagle dostrzegł Olę. Za nią jechała rozpędzona bryczka. Od razu pobiegł w jej kierunku. Kiedy był już przy niej, zepchnął ją z jezdni, a sam wpadł pod koła. Ola szybko do niego podbiegła i zobaczyła, że chłopiec ma coś w ręce. To był rysunek sowy, a na nim był napis: „Wiem, że lubisz sowy, więc Ci jedną taką narysowałem”.

Po przeczytaniu tego Ola się rozplakała i pobiegła do domu. Tydzień później odbył się pogrzeb chłopca. Przyszedł dosłownie każdy, nawet Franek i jego banda. Burmistrz powiedział, że zbuduje pomnik sowy trzymającej tarczę. Sowa będzie na cześć Eustachego, a tarcza za jego męstwo.

Zakończenie

Warszawa. Godzina 18.32.
Tajna Organizacja Pokojowa (w skrócie TOP).

Dyrektor Aureliusz Wazowski właśnie grał w pasjansa na swoim roboczym komputerze, gdy ktoś zapukał do jego drzwi. Mężczyzna westchnął głośno i upił łyk gorzkiej herbaty ze swojego kubka. Nie spodziewał się już obowiązków na dziś. Zostało mu jedynie 28 minut pracy, podczas których zamierzał zająć się wszystkim, tylko nie pracą. Wyłączył grę i wyprostował się na krześle. Próbował udawać zmęczonego od nawału obowiązków.

– Proszę wejść – zawołał donośnym głosem. Powstrzymał złośliwy uśmiech cisnący mu się na usta. Zawsze uwielbiał chwalić się swoim stanowiskiem i czerpać z niego korzyści. Do jego ulubionych przywilejów należało posiadanie własnego biura. Było to jego prywatne miejsce, w którym mógł się ukryć przed światem.

– Dyrektorze – zza drzwi wychyliła się chuda, żylasta twarz niskiego agenta Malinowskiego. Wazowski zapamiętał go z tego względu, że był on najgorszym materiałem na agenta tajnej organizacji, jakiego kiedykolwiek widział. Agent Malinowski był mały, wątły i nie posiadał koordynacji ruchowej. Wazowski zastanawiał się, jakim cudem zdał egzaminy sportowe.

– Malinowski – prychnął mężczyzna. – Masz do mnie jakąś pilną sprawę? Zaraz wychodzę.

– Tak, wiem... ale przed chwilą dostaliśmy przesyłkę od wojewody dolnośląskiego. Napisał, że to bardzo ważne i niecierpiące zwłoki. Pomyślałem, że wołałby pan o tym wiedzieć jak najszybciej.

Dyrektor Wazowski skłamałby, gdyby powiedział, że nie interesuje go ta sprawa. Już kilka miesięcy temu dostał informację od

wojewody Dolnego Śląska, że ma mu do przekazania ważne informacje. Podobno chodziło o jakieś znalezisko na terenie powiatu dzierzoniowskiego...

– Dziękuję, agencie – odpowiedział Wazowski i skinął lekko głową. Malinowski zawahał się chwilę, po czym podszedł chwiejnym krokiem do biurka swojego szefa. Na skraju blatu położył specjalnie zabezpieczoną, jasnoniebieską paczkę.

– Przesyłka została prześwietlona i sprawdzona przez specjalistów. Zawartość nie zagraża życiu ani zdrowiu.

– Dobra robota, Malinowski – pochwalił go dyrektor i przyciągnął pudełko do siebie. Chudszy mężczyzna nie krył uśmiechu, który mimowolnie pojawił się na jego twarzy. Aprobata ze strony dyrektora była niezwykle rzadka i zarezerwowana dla nielicznych. Agent Malinowski w głębi duszy poczuł się wyróżniony.

Wazowski spojrział na niego z rosnącą niecierpliwością.

– Możesz już iść, agencie – powiedział stanowczo, mierząc go chłodnym spojrzeniem. „No i skończyły się pochwały” – pomyślał z goryczą Malinowski. Skinął jedynie głową i wyszedł.

Gdy tylko drzwi się zamknęły, Wazowski wziął się za otwieranie paczki. Ręce trzęsły mu się z podniecenia. Zerwał niebieską folię, którą owinięta była przesyłka. Pod nią znajdowała się metalowa skrzynka. Dyrektor postarał się zapanować nad emocjami. Z mocno bijącym sercem otworzył pudełko i... westchnął ciężko, widząc w nim kolejną skrzynkę. Tym razem jednak była o wiele mniejsza i drewniana. Z boku miała rzeźbione zdobienia w kształcie kwiatów. Wyglądała na bardzo starą, jakby miała się załamać pod najlżejszym dotykem. Wazowski zmarszczył brwi i wyciągnął z szuflady biurka lateksowe rękawiczki. Obok szkatułki leżał mały, srebrny klucz. Dyrektor wziął go delikatnie do ręki i włożył do zamka. Wstrzymał oddech i przekręcił klucz.

Usłyszał cichy szcęk metalu. Przełknął głośno ślinę i bez wahania uchylił wieko. To, co zobaczył w środku, sprawiło, że jego serce zwolniło. Wazowski ukrył twarz w dłoniach, nie wierząc własnym oczom. Zajęło mu chwilę, zanim zrozumiał, z czym ma do czynienia. Ponownie spojrział na zawartość przesyłki i westchnął z rozczarowania. Miał przed sobą kopertę. Nie ukrywał, że był zawiedziony.

Oczekiwał czegoś niezwykłego, tajemniczego, a nie kolejnej, nudnej korespondencji. Wazowski wyjął ze szkatułki list, nie dbając już o delikatność. Obejrzał dokładnie kopertę. Była biała, ale brudna, na jej brzegach dostrzegł ślady od kurzu. Papier prawie rozpadał mu się w palcach. Na środku znajdowała się złamana pieczęć. Z prawej strony widniał adres:

*Sz. P. Antoni Gremio
ul. Biała 12/28
62-200 Gniezno*

W środku znajdował się długi na trzy strony list zapisany drobnym pismem. Ostatnia strona listu była przzerwana w połowie i brakowało jej końca. Dyrektor zamyślił się na chwilę. Najchętniej zostawiłby to na jutro – zostało już 12 minut do końca pracy. Był zmęczony i głodny. Westchnął ciężko. Obowiązek to jednak obowiązek. Odłożył kopertę i zaczął śledzić wzrokiem pierwszą stronę.

09.11.1958

Drogi Antoni,

piszę do Ciebie, ponieważ Basia przekonała mnie, że jesteś jedyną osobą, która może mi pomóc. Długo zwlekałem z napisaniem tego listu, a jeszcze dłużej wahałem się nad jego wysłaniem. Mam nadzieję, że potraktujesz tę sprawę poważnie i będziesz skłonny wyświadczyć mi niemałą przysługę.

Pamiętasz, jak 28 lat temu Twoja siostra przyprowadziła mnie na kolację do Waszego domu? Wtedy nas sobie przedstawiła. Pytałeś o różne rzeczy, chcąc się o mnie dowiedzieć jak najwięcej: o plany na przyszłość, pracę, zainteresowania... aż dotarłeś do tematu, którego osobiście bałem się najbardziej. Zapytałeś o dom. Od razu doskonale wywnioskowałeś, że nie jestem z Gniezna, dlatego tak bardzo ciekawiło Cię miejsce, z jakiego pochodzę. Tamtego wieczoru nie odpowiedziałem Ci na to pytanie. Zamierzam to zrobić właśnie teraz.

Urodziłem się w Bielawie, jeszcze w czasach, gdy była wsią. To mała miejscowość, u podnóża Gór Sowich. Małe miejsce o wielkim znaczeniu. Dlaczego nie powiedziałem Ci o niej w 1930? Podejrze-

wam, że nie byłem gotowy wyznać tej prawdy, nawet przed samym sobą. Milczałem na ten temat 38 lat. Nadszedł czas, by ktoś w końcu dowiedział się o tym mieście, które skrywa w sobie wiele nieodkrytych tajemnic. Cieszę się, że będziesz pierwszym, który o tym usłyszy.

Wszystko zaczyna się we wrześniu 1920 roku. Rozpocząłem kolejny rok nauki w szkole, razem ze swoimi przyjaciółmi, a nasza grupa liczyła dokładnie 7 osób. Janek, który uwielbiał się uczyć i zawsze ratował nas od zadań z matematyki, Dawid – dusza towarzystwa, Bartek, którego zawsze wszyscy uwielbiali, ponieważ miał twarz cherubinka, najgłośniejsi bliźniacy – Franek i Adam, oraz ja – Patryk, który zawsze szukał okazji do przeżycia przygody. Jak się później okazało, to przygody znajdowały mnie, a nie na odwrót.

Byliśmy zwyczajną grupą przyjaciół, która poza chodzeniem do szkoły lubiła spędzać czas na Marktplatz. Było to nasze najbardziej ulubione miejsce w całej wsi. Zawsze było pełne uśmiechających się ludzi. Lubiliśmy razem z chłopcami biegać po placu i ścigać się z powozami. Gdy byliśmy zmęczeni zabawą, siadaliśmy na krawężniku przy targowisku i obserwowaliśmy ludzi. Dawid, który miał z nas wszystkich najwięcej energii, przechadzał się wzdłuż targu i opowiadał nam później, co ciekawego znalazł. Janek zazwyczaj w tych krótkich chwilach wytchnienia wyjmował książkę i zaczytywał się bez opamiętania. Bliźniaki często się z tego śmiały i starały się go rozproszyć. Dni mijały nam na bez troskiej zabawie i obowiązkach szkolnych. Każdy dzień był dla nas zbyt krótki. Potrzebowaliśmy czegoś więcej. Byliśmy pełnymi energii dziesięciolatkami, którzy chcieli cały wolny czas spędzać na szukaniu przygód.

Aż nadszedł dziewiąty listopada. Jedna noc, która zmieniła wszystko. Dzień zaczął się tak jak zwykle. Po szkole spotkaliśmy się na Marktplatz. Bawiliśmy się przez najbliższe godziny, aż zabrakło nam energii. Nawet Dawid nie miał siły na dalsze przechadzki po placu. Usiedliśmy w naszym stałym miejscu, na krawężniku obok towarów pana Zbyszka. Mężczyzna jak zwykle poczęstował nas pokrojonym na ćwiartki jabłkiem. Zaczęliśmy rozmawiać. Jak na dziesięcioletnich chłopców byliśmy dość zaradni i bystrzy. Janek zawsze zaskakiwał nas jakąś nową ciekawostką naukową wyczytaną

z książki. Dawid zabawiał nas żartami, a bliźniaki wygłupiały się, starając zwrócić na siebie uwagę. Jednak najbardziej lubiłem rozmawiać z Bartkiem. Był cichym chłopcem, ale jak już się odezwał, to zawsze było to coś mądrego.

Był początek listopada, ale nie odczuwało się jeszcze zimna. Słońce, mimo że zasłonięte chmurami, nadal grzało nam w głowę. Obawialiśmy się, że w tym roku nie spadnie śnieg, co przecież dla dziesięcioletnich chłopców oznaczało istną katastrofę. Zbliżała się godzina 16.00, gdy to się zaczęło. Wszystko wydarzyło się szybko i pamiętam to jakby przez mgłę. Obróciłem się, by rozejrzeć się po targowisku. Jak zwykle było pełne ludzi, ale jedna postać szczególnie zwróciła moją uwagę. Miała na sobie czarny płaszcz, który wydawał się zlewać z brukiem. Nie widziałem jej twarzy, jednak po układzie pełeryny domyśliłem się, że jest to kobieta. Stała kilka metrów od nas, odwrócona tyłem. Ludzie mijali ją, jakby nie zdawali sobie sprawy z jej obecności. Wpatrywałem się w nią przez chwilę, gdy nagle postać odwróciła się i zaczęła odchodzić. Z kieszeni jej płaszcza wypadła biała, złożona kartka. Natychmiast podniosłem się z miejsca i zacząłem biec w jej stronę.

– Przepraszam! Proszę pani, coś pani wypadło! – zawołałem, podnosząc papier z ziemi. Spojrzałem ponownie w jej stronę, ale niczego nie zobaczyłem. Zmarszczyłem brwi i rozprostowałem kartkę. Powoli ją przeczytałem:

„W sercu wsi,

głęboko jest ukryte.

Na jasnej skale, od spodu wyryte.

Uważaj jednak, szukając śladów,

tylko nocnych dokonuj zwiadów”.

Byłem podekscytowany swoim znaleziskiem. W końcu mam przygodę, której tak długo szukałem! W końcu będę mógł zrobić coś innego, niż tylko nauka i głupie zabawy z kolegami. Nie potrafiłem powstrzymać radosnego uśmiechu, który wkradł mi się na usta. Obiecałem sobie, że jak najlepiej wykorzystam tę szansę przeżycia przygody. I jak to dzieci mają w zwyczaju, musiałem się pochwalić swoim odkryciem przed innymi.

– Ej, chłopcy! – czym prędzej do nich podbiegłem. – Patrzcie, co mam!

Jak myślicie – co to jest?

Dawid jako pierwszy dorwał się do kartki i przeczytał ją na głos.

– O ja cię! Słuchajcie, mamy zagadkę do rozwiązania – ogłosił i podał papier Jankowi, który już usilnie próbował zinterpretować tekst.

– „W sercu wsi”... Naszej wsi? – zagadnął Franek, przy okazji szamocąc się z bratem.

– Oczywiście, że naszej wsi, głupolu – zganiał go Dawid, a jego oczy zabłyły z podniecenia. – Czy to nie oczywiste? Jesteśmy już w sercu wsi!

Wszyscy oprócz Janka spojrzeli na niego ze zdziwieniem. Dawid przewrócił jedynie oczami i westchnął:

– Znajdujemy się na Marktplatz, nie? A tutaj wszystko się odbywa, czyli jest sercem miasta! Nie ukrywam, że byłem zaskoczony jego błyskotliwością.

– Myślę, że Dawid ma rację – odezwał się Janek, podnosząc wzrok znad kartki. – A „głęboko jest ukryte” może oznaczać: zakopane pod rynkiem.

– „Na jasnej skale od spodu wyryte”... Hm... – zamyśliłem się i spojrzałem na swoje buty. Dopiero po chwili mnie oślniło: – Zaraz! Marktplatz jest w całości wyłożony jasną kostką – może pod nią znajduje się odpowiedź?!

– Tak! Chodźmy! – Adam rzucił się na posadzkę, próbując rękami wyjąć jasne kamienie. Franek podszedł do niego i dał mu kuksańca.

– Niby jesteś taki sam jak ja, a jednak głupszy! Nie czytałeś ostatniej części? „Tylko nocnych dokonuj zwiadów”... Musimy tu wrócić w nocy. Poza tym nie zdołasz wyjąć każdego kamienia z bruku, zajęłoby ci to wieczność!

– Sądzę, że trzeba to wyliczyć – powiedział Jan. – Musimy wymierzyć środek rynku i tam zacząć kopać.

– Zwariowaliście! – uznał Bartek, patrząc na nas z osłupieniem. – Naprawdę zamierzacie to zrobić? Macie dziesięć lat! Rodzice nie pozwolą wam wyjść w nocy z domu!

– Kto powiedział, że rodzice będą o tym wiedzieć? – zapytał Dawid, unosząc wymownie brwi. Bartek poczerwieniał na twarzy.

– W takim razie ja nie chcę brać w tym udziału – oznajmił, odwrócił się na pięcie i odszedł.

Po tym, co stało się tej nocy, wiedziałem, że też powinienem odpuścić. W ogóle nie należało podnosić tej kartki z ziemi. I tak została nas tylko piątka: mądry Janek, sprytny Dawid, nadpobudliwe bliźniaki oraz ja – chłopiec, który wszystko zaczął.

Zaczęliśmy planować nasz nocny wypad. Nie myśleliśmy o konsekwencjach – byliśmy dzieciakami, które chcą się jedynie bawić, i to zamierzaliśmy zrobić tej nocy. Janek obiecał, że zdąży wyliczyć idealny środek placu, a Dawid przyniesie łopatę od swojego dziadka. Wszyscy razem mieliśmy się spotkać o 23.30 na rynku. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, jak bardzo to wpłynie na nasze życie.

O 23.15 wymknąłem się z domu. Mieszkałem blisko placu, więc nie musiałem się martwić o czas. Szedłem powoli ciemnymi uliczkami, rozglądając się dokoła. Miałem na sobie za duży o kilka rozmiarów płaszcz starszego brata, skutecznie chroniący mnie przed mroźnymi nocami. Pamiętam dreszcz przechodzący mi po plecach. Ciche i ciemne zaułki budziły we mnie niepokój. Przyspieszyłem kroku, chcąc jak najszybciej znaleźć się na miejscu. Zacząłem się uspokajać dopiero, gdy z daleka zobaczyłem lampy oświetlające Marktplatz. Odetchnąłem z ulgą i resztę trasy pokonałem biegiem. Rynek nocą wyglądał zupełnie inaczej. Był ciemny, tajemniczy i wydawał się kilkanaście razy większy. W miejscach, w których na co dzień odbywały się targi, było przerażająco pusto. Brakowało znajomego hałasu rozmów i jeżdżących pojazdów – zamiast tego była cisza. Cisza i delikatny szum drzew kołyszanych przez wiatr. Na niebie nie było księżycy ani gwiazd – jedynym źródłem światła były uliczne latarnie, które rzuciły słaby blask.

Reszta chłopców już czekała, stojąc pod najwyższą latarnią. Wszyscy wyglądali na zmęczonych, nawet bliźniaki, które zawsze były lekko nadpobudliwe.

– Jeżeli nie pomyliłem się w obliczeniach, tam powinniśmy zacząć kopać – oznajmił na wstępie Jan, wskazując palcem sam środek placu. Dawid ziewnął głośno i podniósł łopatę.

– No to zaczynamy – powiedział i ruszył pewnie przed siebie. Bliźniaki spojrzały po sobie z wahaniem, po czym wruszyły ramionami i podążyły za przyjacielem. Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że najrozsądniej byłoby ich zatrzymać.

Najpierw z trudem pozbyliśmy się kamieni, którymi pokryty był Marktplatz. Dawid podważał łopatą jasne kostki, a my wyjmowaliśmy je palcami. Staraliśmy się robić to jak najciszej, nie chcąc obudzić mieszkańców. Po usunięciu kilkunastu kamieni, ręce mieliśmy brudne od ziemi, a skóra na nich była popękana w paru miejscach. Gdy w końcu udało się nam wykopać całkiem sporą dziurę w kształcie kwadratu, odetchnęliśmy z ulgą. Właściciel łopaty zaczął odgarniać ziemię i pogłębiać dołek. Wystarczyło kilka ruchów szpadlem, by dokopać się do jasnej, chropowatej płyty kamiennej. Posłaliśmy sobie podekscytowane spojrzenia i szerokie uśmiechy. Rzuciliśmy się zgodnie na nasze znalezisko i wspólnymi siłami wyciągnęliśmy płytę. Razem przewróciliśmy ją na drugą stronę i przeczytaliśmy wyrytą na niej wiadomość.

Pozwól, że zanim poznasz treść tajemniczego napisu, coś ci wyjaśnię, Antoni. Byliśmy tylko dziećmi. Głupimi dziećmi, które jedynie pragną przeżywać przygody. To, czego dowiedzieliśmy się tamtej nocy, nie powinno nas dotyczyć. Dziecko nigdy nie powinno zostać obciążone taką informacją. Nie mieliśmy pojęcia, co z tym zrobić. Byliśmy wstrząśnięci i obiecaliśmy sobie, że przenigdy nie wrócimy do tego momentu myśłami. A jednak myślę o tym każdego dnia, przez 38 lat. Muszę przelamać swoje milczenie, zanim będzie za późno. Otóż wiadomość dotyczyła uratowania nas wszystkich, Antoni. Dosłownie. Na tym przeklętym kamieniu była odpowiedź na najważniejsze pytanie tego świata. Na pytanie, na które sam prezydent Wilson nie potrafił odpowiedzieć, bowiem jedynym sposobem na zachowanie pokoju na świecie jest...

Wazowski nie mógł uwierzyć własnym oczom. Przewrócił kartkę na drugą stronę, ale okazała się pusta. Przeglądnął jeszcze raz zawartość koperty – nie było żadnych dodatkowych stron, żadnych wyjaśnień. Ręce zaczęły mu się trząść, nie mógł zapanować nad emocjami. Rzucił niedokończony list na biurko i spojrzął na zegarek. 21.02. Mężczyzna westchnął z irytacji. Zmarnował kilka godzin, siedząc nad korespondencją, i nie dowiedział się niczego! Zacisnął mocno ręce, wbijając paznokcie w skórę. Gdy je rozprostował, na wewnętrznej stronie dłoni miał charakterystyczne ślady w kształcie półksiężyca. Wiedział, co w tej chwili musiał zrobić.

Wziął głęboki wdech, wstał, zgasił światło i w ciszy wyszedł z gabinetu, zamykając go na klucz. Na piętrze nie było już nikogo. Wazowski zjechał windą na sam dół. Na parterze w recepcji jak zwykle siedziała pani Zosia, która robiła coś na swoim komputerze. Słychać było jedynie rytmiczny odgłos paznokci wystukujących coś na klawiaturze. Na twarzy kobiety malowało się skupienie. Mężczyzna odchrząknął.

– Pani Zofio, proszę powiadomić agenta Edlinga, że podczas mojej nieobecności będzie wykonywał moje obowiązki.

Brunetka spojrzała na niego znad kwadratowych okularów i zmrużyła oczy.

– Dyrektor nie uprzedzał nas o swoim wyjeździe – zauważyła, marszcząc brwi.

– To nieplanowane – uśmiechnął się jednym kącikiem ust. – Sprawa wagi państwowej, która wymaga mojej osobistej interwencji.

– Rozumiem – kobieta skinęła głową i znowu zaczęła wpisywać coś do komputera. – Długo pana nie będzie?

– Nie mam pojęcia – odrzekł szczerze.

Kobieta przewróciła oczami:

– W takim razie gdzie się pan wybiera?

– Do Bielawy – odpowiedział. – Do miasta, które może uratować nas wszystkich...

Bielawski rynek

Bielawa – miejscowość jedna z wielu. Dzień jak każdy jeden w roku. Poranny spokój i zaduma.

Na rynku gasną powoli latarnie gazowe. Miasto budzi się ze snu nocny. Słońce zaczyna zaglądać na dachy budynków, by za chwilę zaświecić na dobre. Na placu rozkładają swoje stragany sprzedawcy warzyw i owoców. Miejskowe kwiaciarki wkładają świeże kwiaty do wazonów. Rynek zamienia się w wielki plac targowy – kwitnie drobny handel.

Codziennie ciszę zakłócają syreny pobliskiej fabryki Dieriga. Nawołują robotników do pracy w przędzalniach i tkalniach. Wielu z nich tamtędy przechodzi. Spieszą się do pracy, która jest dla nich celem życia, odskoczną i daje pewność jutra.

Na fontannie na rynku stoi sowa z herbem, niosą ją na barkach miejscowe krasnale. Sowa swym ostrym wzrokiem widzi młodzież idącą do szkoły, turystów z plecakami szukających przygód i miłości. Sowa to symbol Gór Sowich – miasto jest ich bramą. Sowa jest świadkiem historii miasta, wiele już widziała i zapamiętała. Wojny, które przeminęły, lata sławy, które upływały. Miejskie tragedie – pożary i powodzie.

Plac pozostał i jest dzisiaj taki jak dawniej, niezmienny. Zakład tylko przestał istnieć, Dierig byłby oburzony. Ucichły bowiem krosna i przędzalnicze maszyny, a z fabryki pozostały tylko ruiny.

Dziwny sen

Drogi Pamiętniku!

Cześć! Jestem Zuzia i mam 12 lat. Spotkała mnie bardzo dziwna historia, w którą na pewno nikt mi nie uwierzy, a muszę o niej komuś koniecznie opowiedzieć. Postanowiłam, że będziesz to Ty.

Był czwartek. Wróciłam ze szkoły bardzo zmęczona, a musiałam jeszcze napisać wypracowanie z polskiego. Nie miałam ani siły, ani weny. Położyłam się, zrobiło mi się tak jakoś sennie i... zasnęłam. Obudziłam się i nie mogłam uwierzyć: znajdowałam się na placu Wolności, tylko że wszystko było czarno-białe. Nie było symbolu naszego miasta, czyli pomnika sowy – w jego miejscu stał budynek mieszkalny, przed Urzędem Miasta rosły drzewa. Przede mną przystanęło 7 chłopców, bardzo dziwnie ubranych. Dostrzegłam też pozostałych ludzi. Wszyscy znieruchomieli i gapili się na mnie, jakbym była z innej planety. Dookoła słychać było szepty: „Kto to jest?”, „Skąd się tu wzięła?”, „Jak ona dziwnie wygląda!”.

Minęła chwila, zanim zrozumiałam, w jakim języku mówią. Wakacje spędzane u mojej przyjaciółki w Lingen, w Niemczech, zaowocowały w najmniej oczekiwanym momencie. Zebrałam się na odwagę i zwróciłam się do chłopca z plecakiem na plecach, stojącego po mojej lewej stronie i zapytałam: „Jaki dzień dzisiaj mamy?”. Powoli odwrócił głowę w moją stronę, ale uśmiechnął się tylko i dołączył do kolegów. Nagle zza ich pleców wyszła mała dziewczynka, siedmio- lub ośmioletnia. Powoli podeszła do mnie, wyciągnęła rękę i przedstawiła się. Miała na imię Klara.

Wydawało mi się, że znam tę twarz, duże błękitne oczy i białe jak len włosy. Tak bardzo chciałam przypomnieć sobie, gdzie widziałam zdjęcie tej dziewczynki, i wówczas doznałam olśnienia. Tak, to zdjęcie widywałam w domu mojej przyjaciółki w Lingen,

przedstawiało jej prababcię. Pamiętam jej historię: zaraz po zakończeniu wojny z całą rodziną opuściła Langenbielau i wyjechała do Niemiec Zachodnich. Przywitałam się z Klarą i zaczęłyśmy rozmawiać. Opowiadała o targu, który co czwartek odbywa się na Marktplatz. Postanowiłyśmy, że kupimy coś sobie. Klara powiedziała, że są tu bardzo dobre pierniki. Zajadałyśmy się piernikami i szłyśmy w stronę domu mojej babci. Gdy doszłyśmy, bardzo się zdziwiłam, bo były tam same pola ciągnące się aż pod las. Wróciłyśmy na plac Wolności i wtedy zauważyłam piękny budynek z wieżyczką. Był to budynek Urzędu Miasta, w którym pracuje mama mojego przyjaciela. Poszłyśmy ją odwiedzić, ale w drzwiach przywitał nas lokaj. Zaskoczona złapałam Klarę za rękaw i odeszłyśmy. Ona wyjaśniła mi, że jest to willa jednego z właścicieli zakładów. Postanowiła, że oprowadzi mnie po fabryce Dieriga. Zdziwiłam się, bo w Bielawie nie ma dużych zakładów. Gdy stanęłyśmy przed budynkiem z czerwonej cegły, pomyślałam sobie, że przecież znajduje się tu Paintball. Weszłyśmy przez uchylone drzwi i... nagle zawaliła się podłoga! Pamiętam tylko przeraźliwy krzyk Klary i to, że spadła na mnie ogromna, drewniana bela. Obudziłam się na podłodze w moim pokoju. Wiedziałam już, co napisać w wypracowaniu.

Tak na marginesie: za tydzień idę z tatą, wujkiem i kuzynem na Paintballa. Ciekawe, czy jest tam jakaś dziura w podłodze.

Zdjęcie z gazety

Był słoneczny poranek. Siedmiu chłopców szło powoli do szkoły. Rozmawiali o sposobie pytania pana Heinricha – nauczyciela historii. Jedni uważali, że wybiera uczniów przypadkowo, a inni byli pewni, że ten sposób jest powiązany z pierwszymi literami nazwisk. Dyskutując, powoli weszli na rynek, gdzie ludzie handlowali już od wschodu słońca. Panowała tam wrzawa. Chłopcy ze smakiem patrzyli na stragan wypełniony po brzegi świeżymi owocami. Dochodziła już godzina ósma, gdy zauważyli wytwornie ubranego pana. Miał ze sobą aparat! Podbiegli zaciekawieni, a wtedy ten pan głośno powiedział:

– Nazywam się Klaus Heckmann i chciałbym zrobić zdjęcie tego miejsca. Na pewno zostanie wydrukowane w gazecie!

Chłopcy byli trochę zmieszani, ale i szczęśliwi, że będą w gazecie. Pomimo tego, że zegar wybił już godzinę ósmą, ustawili się do zdjęcia. I to na pierwszym planie! Sława jest ważniejsza niż szkoła! Gdy fotograf zrobił zdjęcie i podziękował wszystkim, chłopcy popędzili do szkoły, ponieważ pierwszą lekcją była historia! Pan Heinrich na pewno ich dziś zapyta! Oj, niedobrze!

– Gdzie byliście?! – wrzasnął pan Heinrich, gdy tylko wpadli do klasy zziązani.

– My... – zaczął niepewnie Hans.

– Będziemy w gazecie! – dokończył Jason.

– Ach, tak. Następnym razem wymyślcie bardziej wiarygodną wymówkę – podsumował nauczyciel. – A teraz wszystkich siedmiu zapraszam na środek. Zobaczmy, co macie do powiedzenia na temat starożytności...

A nazajutrz spoglądało na niego z gazety siedmiu chłopców spóźnionych na historię...

Mieszkam w Bielawie już 5 lat. Bielawa to piękne miasto, pełne zabytków, pięknych kościołów, ciekawych miejsc oraz sympatycznych i pomocnych ludzi. Moim ulubionym miejscem jest rynek. Przechodzę tędy codziennie rano w drodze do pracy, a wieczorem w drodze do domu. Mimo tego to miejsce dalej mi się nie znudziło, wręcz przeciwnie: jest coraz bardziej ciekawe i magiczne.

Rano zawsze obok zielonej latarni stoi pan, sprzedający świeże, pachnące pieczywo. Mężczyzna jest przemiły, do każdego zwraca się po imieniu. Po drugiej stronie, obok fontanny, rozkłada swój stragan ubogie małżeństwo z trzyletnim dzieckiem. Sprzedają owoce i warzywa ze swojej działki. Widać, że robią to z przyjemnością, zawsze z uśmiechem na twarzy.

O tej samej godzinie, o której codziennie chodzę do pracy, mijam dzieci z plecakami zmierzające do szkoły, starsze małżeństwa, które spieszą się na poranną mszę. Z zawodu jestem pielęgniarką, nie raz słyszałam od swoich podopiecznych przeróżne historie związane z tym miejscem. Kocham to miejsce między innymi dlatego, że poznałam tam swoją miłość, z którą wzięłam ślub i mieszkam.

Zawsze w weekendy biorę swoją ulubioną książkę i idę na rynek. Siadam na ławce obok fontanny, trochę czytam, trochę wygrzewam twarz w słońcu, które jak nigdzie indziej grzeje, jego promyki łaskoczą moje lico. Resztę czasu spędzam na przyglądaniu się starym, pięknym budynkom, które mnie otaczają. Tajemnicze osoby, spieszące się nie wiadomo gdzie, nie wiadomo dokąd, małe dzieci bawiące się naokoło fontanny, dostojne panie w długich sukniach wracające do domu z koszami pełnymi świeżych owoców i jarzyn kupionych na pobliskim targu – wszystko jest takie inne, wręcz magiczne. Kiedy tak siedzę i podziwiam ten piękny rynek, robi się wieczór i muszę wracać do swojego domu. Jednak nie smucę się, bo wiem, że niedługo znowu tu wrócę...

Weekendowa podróż w czasie

Nazywam się Mateusz, chodzę do klasy 4a. Pewnego dnia po lekcjach poszedłem na rynek. Usiadłem na ławce i ujrzałem przed sobą piękną, starą fontannę. Zacząłem się zastanawiać, co znaczą obrazy namalowane na niej. Było już późno, więc musiałem wracać do domu.

Następnego dnia poszedłem do biblioteki i wypożyczyłem książkę o Bielawie. Chciałem dowiedzieć się więcej o dziwnych obrazach na fontannie. Postanowiłem czytać książkę na rynku, żeby poczuć klimat tamtych czasów. Usiadłem na ławce i zacząłem czytać. Dowiedziałem się o pociągu, w którym były słonie. Spragnione słonie przewróciły wagon i podeszły do fontanny, żeby się napić.

Nagle usłyszałem wokół siebie hałas. Oderwałem się od książki i ujrzałem biegnące do fontanny słonie. Myślałem, że to jakiś sen. Mały słonik podbiegł do mnie i zaczął się tulić. Złapałem go za ogon i pobiegłem za nim. Słonik zaprowadził mnie na Górę Parkową. Weszliśmy na sam szczyt i zaczęliśmy się bawić w berka. Nagle zabawę przerwał nam dziwny szelest w krzakach. Okazało się, że w norce były krasnoludki. Gdy nas zobaczyły, schowały się. Zaprosiłem je do zabawy, lecz one wołały zostać w norce i opowiedzieć mi swoją historię. Dowiedziałem się o tym, że kiedyś pomagały ludziom w pracy. Dawały im złoto. Ale ludzie chcieli więcej i więcej. Krasnoludki postanowiły odejść i schować się w górach. Gdy usłyszałem tą historię, zrobiło mi się smutno. Chciałem je trochę pocieszyć, ale usłyszałem, że ktoś mnie woła. Podniosłem głowę i nie było już ani góry, ani słonika, ani krasnoludków. Po drogiej stronie ulicy szła moja mama, która mnie wołała. Nie mogłem uwierzyć, że moja przygoda to tylko wyobraźnia.

Następnego dnia w szkole na lekcji historii uczyliśmy się o legendach bielawskich. Z tej lekcji dostałem szóstkę.

Powrót do przyszłości

Wszystko zaczęło się około dziesięciu lat temu. Nasze pamiętne zdjęcie, kiedy byliśmy jeszcze niewinnymi, beztroskimi chłopcami, powstało właśnie w latach dwudziestych. Miałem wtedy piętnaście lat. Teraz mamy rok 1932, a ja w niczym nie przypominam energicznego młodzieńca, jakim powinienem być. Wyglądam jak mój sąsiad staruszek mieszkający niedaleko mojego domu. To samo dotyczy moich kolegów. A dlaczego? Ktoś by pomyślał, że dotknęła nas jakaś straszna choroba. Ale nie w tym rzecz.

Wszystko zaczęło się w maju 1921 roku. Razem z chłopakami, jak zwykle, szukaliśmy okazji do zabawy. Nie mogliśmy nigdzie zagrześć na dłużej miejsca, ponieważ zewsząd nas przepędzano. Pewnego dnia byliśmy już znużeni poszukiwaniami, więc usiedliśmy pod latarnią na rynku. Musieliśmy być naprawdę zmęczeni, bo każdy z nas zapadł w sen. Obudziłem się pierwszy. Byłem jeszcze nieco oszołomiony, ale coś mnie zdziwiło. Wszystko wokół nas było podobne, jednak trochę inne. Ludzie byli jacyś dziwni, inaczej ubrani. Budynki wyglądały na nowsze. Po ulicach jeździły niesamowite pojazdy. Na początku pomyślałem, że śnię. Obudziłem kolegów, po czym oni także zauważyli, że coś jest nie tak. Nie wiedzieliśmy, co mamy ze sobą zrobić.

– Czy to sen? – spytał Henryk

– Tak myślę – odpowiedziałem. – Choć trochę zbyt realistyczny – dodałem.

– Co mamy teraz zrobić? A jeśli to wszystko prawda? Jak to możliwe? – pytał Jerzy.

W głowie miałem tysiące pytań. To było szaleństwo. Wiedziałem, że muszę coś zrobić. Koledzy byli przerażeni, ale też zaciekawieni, podobnie jak ja. Jak mamy się stąd wydostać? Co powinniśmy teraz zrobić? – myślałem intensywnie. Pierwsze, co mi przyszło do głowy, to zapytać o datę, bo miejsce, w którym jesteśmy, wydaje się znajo-

me. Zaczepiłem pewną kobietę. Była ubrana elegancko, a przynajmniej tak mi się wydawało.

– Przepraszam bardzo. Czy mogłaby pani podać mi dzisiejszą datę?

– starałem się zachowywać normalnie, o ile było to możliwe.

Spojrzała na mnie zdziwionym wzrokiem.

– Yyy, czwartek dwudziestego szóstego maja dwa tysiące siedemnaściego roku – odparła, spoglądając na jakiś dziwny przedmiot.

– Co to jest? – spytałem, wskazując ów przedmiot.

– Telefon – odpowiedziała, patrząc na mnie dziwnie.

Odeszła. Nie wiedziałem, co dalej. Co powinniśmy zrobić?

– Może powinniśmy pójść w nasze stare miejsca? O ile nadal istnieją – wyszedł z inicjatywą Henryk.

Spojrzelśmy na siebie porozumiewawczo i ruszyliśmy w drogę. Postanowiliśmy pójść w jedno z naszych ulubionych miejsc, czyli na Górę Parkową. Idąc do celu, zauważyliśmy, jak wiele się zmieniło. Wszędzie stały jakieś domy i te dziwne pojazdy obok nich. Szedłem tędy niedawno i, o ile pamiętam, wokół mnie była tylko trawa i drzewa. Coś jest nie tak. Świat wokół mnie wiruje. Widzę, że chłopaki także to czują. Nic nie widzę. Co się dzie...?

Otwieram oczy. Moi przyjaciele patrzą na mnie zatroskani, a ja staram się przypomnieć sobie, co się stało. Widzę koło siebie latarnię. Tę, przy której wcześniej zasnęliśmy. Rozglądam się. Jest ciepły wieczór. Wszystko wygląda normalnie, jakbyśmy wrócili do domu.

– Czyli to już koniec? Koniec naszej przygody? – spytał lekko zdziwiony Leszek.

– Na to wygląda – odparłem. – Trochę się bałem, ale mimo wszystko chciałem tam wrócić. A wy?

– A jak ci się wydaje? – odpowiedział sarkastycznie Henryk. – Tylko jak? Nikt nas nie poinformował, jak to działa.

– Masz rację, ale musimy spróbować. Znaleźliśmy się tam, zasypiając przy tej latarni. To w niej musi być coś, co nas tam przeniosło. Zastanawialiście się w ogóle, jak to możliwe? I dlaczego akurat nas to spotkało? – spytałem.

– Może jesteśmy wybrańcami? – odparł Jerzy.

– Tak, na pewno! Jesteśmy zwykłymi chłopakami. Nie sądzę, że zostaliśmy „wybrani”. Może to przypadek? Albo przyśnił nam się ten

sam sen – powiedział drwiąco Henryk.

– Bez względu na to, czy zostaliśmy wybrani, czy też nie, musimy dowiedzieć się, jak się tam znów przenieść. Ale teraz powinniśmy już chyba wrócić do domu – uspokoiłem chłopaków. – Która jest godzina? – zapytałem.

– Nie wiem, ale masz rację – powiedział Leszek.

Rozeszliśmy się do swoich domów. Okazało się, że w „naszym świecie” minęło tylko kilka godzin, więc rodzice nie zadawali pytań. Nie mogłem spać. Ciągle nurtowała mnie zagadka tej magicznej latarni. W jaki sposób mogła przenosić w czasie? Tak wiele pytań, a tak mało odpowiedzi.

Spotkaliśmy się, kiedy tylko nadarzyła się okazja. Stanęliśmy przed latarnią i próbowaliśmy rozgryźć jej tajemnicę. Ludzie przyglądali nam się z zaciekawieniem, ale to było bez znaczenia. Zastanawiałem się, czy możemy kontrolować, do jakich czasów może nas przenieść latarnia. Czy tylko w przyszłość? Niestety, nie mam czasu na przemyślenia, bo czuję, że to znów się dzieje. Budzimy się w tym samym miejscu co poprzednio. Ucieszyłem się, że tu jesteśmy, jednak nadal nie wiemy, jak to się stało i ile mamy czasu.

– Pospieszmy się. Musimy jak najszybciej gdzieś pójść, zanim znów wrócimy do domu – powiedział Jerzy.

– Zgadzam się. Ruszajmy – poparłem.

Nie wiedzieliśmy, czy zdążymy dojść do Góry Parkowej, więc postanowiliśmy włączyć się po mieście, które ani trochę nie przypominało mi mojej Bielawy. Musieliśmy się cały czas rozglądać, bo te dziwne pojazdy omal nas nie potrąciły. Ludzie dziwnie się na nas patrzyli, ale nie mieliśmy czasu na wyjaśnienia. Od rynku przeszliśmy dość długą trasę. Nie za bardzo mogliśmy się opierać na tym, co znaliśmy z „naszej Bielawy”, ponieważ wszystko wyglądało inaczej. Skręcając w jedną z ulic, zauważyliśmy starszego pana. Mężczyzna był ubrany podobnie jak my, więc postanowiłem z nim porozmawiać.

– Dzień dobry – przywitałem się.

– Witam – odpowiedział.

Nie wiedziałem, jak zacząć tę rozmowę, ale nie miałem zbyt wiele czasu na zastanowienie. Chciałem coś powiedzieć, ale starzec mnie uprzedził.

– Wy też trafiliście tu w „magiczny” sposób – powiedział bezsrośrednio.

– Yyy... Tak! A pan? Jak pan tu trafił? Jest nas więcej? – zarzuciłem starca pytaniami. – Niech mi pan o wszystkim opowie.

– Nic wam nie powiem. To dla waszego dobra. Nigdy więcej tu nie wracajcie. To się źle skończy. Pewnie zaraz odejdziecie z powrotem, więc nie zadawajcie już pytań. Uwierzcie mi. Nie chcecie nic wiedzieć – odpowiedział stanowczo.

– Ale jak to?! Jak pan tak może?! Musimy wiedzieć! – napierałem. Nagle starszy mężczyzna zrobił dziwny ruch i nas popchnął. To nie była jego ręka. Czułem, jakby jakaś fala mnie niosła.

Nie chcę otwierać oczu, bo wiem, co zastanę. Latarnię. Muszę tam wrócić. Biję się z myślami po tym, co powiedział ten starzec. A co, jeśli ma rację? A co, jeśli nas okłamał? Tylko dlaczego? Zawsze wydawało mi się, że pomimo młodego wieku dużo wiem. O wszystkim. A teraz mam wrażenie, że nic nie wiem...

Postanowiliśmy z chłopakami, że musimy tam wrócić i odnaleźć starszego pana. Od tamtego dnia wpadliśmy w pewną rutynę. Pomimo tego całego szaleństwa z magiczną latarnią, każdy dzień wyglądał tak samo. Gdy tylko mogliśmy się spotkać, szliśmy pod latarnię. Nie znaleźliśmy dotąd sposobu, by kontrolować tę wędrówkę w czasie. Po prostu się działo. Byliśmy tam już kilkadziesiąt razy. Zawsze w tym samym miejscu i czasie. Nie udało nam się odnaleźć tajemniczego starca. On wiedział wszystko. Za każdym razem, gdy przynosiliśmy się w czasie, myślałem o jego słowach. Bałem się, ale do tej pory nic złego się z nami nie stało. Chociaż jakiś czas temu... mama powiedziała mi, że wyglądam dojrzej, bardziej jak mężczyzna. Zbagatelizowałem to i teraz bardzo żałuję, bo czuję, że to wszystko moja wina. To ja namawiałem chłopaków, by poszli ze mną.

A, no tak! Pewnie nie wiecie, o co chodzi! Chodzi o to, że ten starzec, którego spotkaliśmy „w przyszłości”, tak naprawdę był w moim wieku. Co prawda, nie powiedział nam nic, domyślił się wszystkiego sami. Za każdym razem wracaliśmy do domu starsi. Taka była cena za podróż! Na początku nikt tego nie zauważył, nawet my, lecz gdy różnica wieku stała się zbyt duża, postanowiliśmy

się ukryć. Oczywiście skończyliśmy z podróżami w czasie, ale to nie sprawiło, że przestaliśmy się starzeć. Każdy kolejny dzień był coraz gorszy. Nie mogliśmy dokładnie oszacować, na ile lat wyglądamy, ale nasi ojcowie wydawali się młodsi od nas. Ukryliśmy się w jednej z naszych kryjówek w lesie, dlatego też jeszcze nikt nas nie znalazł. Ze względu na to, że byliśmy dobrze zorganizowaną drużyną, już dawno temu – jeszcze zanim odkryliśmy latarnię – ukryliśmy tu koce i jedzenie oraz picie. Nie starczy nam na długo. Wiemy to, ale nasz stan zdrowia również się pogarsza. Dlatego każdy z nas honorowo zgodził się na pewien układ: kiedy skończy się prowiant, będziemy razem, w spokoju, czekać na śmierć. Wydaje mi się, że to nastąpi już niedługo, dlatego chciałbym się z wami pożegnać. Zanim jeszcze to zrobię, wspomnę tylko, że każdy z nas postanowił napisać swoją wersję tego, co nas spotkało. Żegnając się z wami, chciałbym powiedzieć, że mimo tak – naprawdę – młodego wieku wiele się nauczyłem i dlatego mam do was ogromną prośbę: Nie szukajcie tej latarni! Nie chcę wam prawić morałów, więc powiem tylko jedno: Uważajcie na siebie!

Zdjęcie, na którym mnie nie ma...

– No gdzie jest nasz Jasiek?! – zawołała od progu pulchna dama, oddając gospodarzowi parasol i płaszcz. Nawet się z kuzynem porządnie nie przywitała. Zaraz popędziła do gościnnego pokoju.

– Ciotka Elza? – pisał Jaś do mamy, która właśnie zmywała naczy-
nia. – Jej też powiedziałem?

Mama z niewesołą miną wzruszyła jedynie ramionami, nie prze-
rywając pracy.

– Nie przejmuj się mną, Olu! Jasiek?! No chodźże do mnie wreszcie!
– domagała się ciotka. Nie było wyjścia. Chłopiec musiał w końcu
stawić jej czoła.

– Cześć, ciociu. Jak się masz?

– Mniejsza z tym! No opowiadaj historię tego zdjęcia! Od początku
do końca!

– Historię zdjęcia, na którym mnie nie ma... – zasmucił się Jaś. – To
wszystko dlatego, że mam pecha i niewyparzony język. Choć wtedy
myślałem, że mam szczęście. Zaczęło się od tego, że jak wracałem ze
szkoły w środę, to usłyszałem, jak młynarz mówi do swojej żony, że
na drugi dzień, czyli w czwartek, przyjedzie do nich na obiad jego
brat. A brat jest nie byle kim, bo fotografem, i trzeba dla niego zabić
koguta na rosół, żeby go porządnie ugościć. I że obiad musi być na
trzynastą, bo brat przyjedzie pociągami przed dwunastą, ale zanim
do nich zajdzie, to pójdzie na plac targowy, bo musi zrobić zdjęcie
do Proletariusza z Gór Sowich, do jakiegoś artykułu o targowiskach,
i to ma być takie zwyczajne zdjęcie, bez pozowania. Zrobi to jedno
zdjęcie i potem już będzie wolny. No i jak to wszystko usłyszałem, to
myślałem, że pierwszy raz mi się w życiu poszczęściło. Tylko ja wie-
działem o tym i miałem niepowtarzalną szansę być na zdjęciu. Nie
takim, jak tu czasem robią – w tłumie czy pochodzie, gdzie wszyscy
są w ścisiku i nie wiadomo, czyja głowa gdzie – tylko w niepozowa-
nym zdjęciu, na którym prawie nikogo nie będzie. Tylko ci, którzy

przypadkiem znaleźli się na targowisku, przyszli coś kupić, skądś wracali, po prostu przechodzili – i ja też zamierzałem być takim kimś, kto tamtędy przypadkiem przechodził. Okazja była pierwszorzędna, bo akurat w czwartek przed dwunastą kończyłem lekcje. Normalnie wyszedłbym później, ale wypadały nam dwie godziny rachunków, bo nauczyciela nie było już od poniedziałku. To kombatant wojenny. Dostał kolbą karabinu w głowę i od tamtej pory miewał straszne migreny, więc wiedziałem, że nie będzie go cały tydzień. I znowu sobie pomyślałem, jakie to szczęście, że akurat pana Hersta w tym tygodniu boli głowa. Już sobie wyobrażałem, jak stoję na środku placu, ja, samiusieńki, widoczny jak na dłoni, w centralnej części zdjęcia, jak jakaś ważna osobistość, i to jeszcze nie w naszej Gazecie Bielawskiej, tylko w samym Proletariuszu! Wyobraża sobie ciocia to?! Taka mnie przepełniała radość, że nie mogłem utrzymać języka za zębami. Najpierw powiedziałem wszystkim w domu, potem na podwórku. Taki byłem zaaferowany, aż sam zapomniałem, komu powiedziałem. A na drugi dzień wygadałem się w szkole. Oczywiście, po moim paplaniu cała klasa wybierała się na targowisko. Dużo nas tam nie ma, ze mną ośmiu. Myślę sobie, osiem to jeszcze nie tłum, będę się wyróżniał. O inne klasy się nie bałem, bo tylko my prędej kończyliśmy, więc poza nami na pewno nie będzie nikogo. Na ostatniej godzinie języka ojczystego już nie mogliśmy wysiedzieć, a ja to już szczególnie. I znowu zawiniło moje gadulstwo. Choć tak naprawdę to ten łobuz Henio mnie podpuścił! Co chwilę coś do mnie gadał, rzucał kulkami z karteczek – nie wiem, czemu się tak wziął – no i nie wytrzymałem i ochrzaniłem go, a potem też zacząłem rzucać w niego, no i przyuważyła to pani Gertung, a ciocia wie, co to za baba!

– Jasiek! – mama krzyknęła z kuchni karcąco.

– Szkoda gadać! – machnął chłopiec ręką. – Wyciągnęła mnie za ucho pod tablicę i kazała zostać po lekcjach i pozamiatać całą salę. Przeprosiłem i pokornie wróciłem na miejsce. Zadzwoił dzwonek, ja – łap za miotłę i zamiatam. Myślę sobie: szybko posprzątam i zdążę. Ale się przeliczyłem. Nauczycielka stała nade mną cały czas i mówiła, że w rogu kurz, że za szafką papier, i co chwilę coś wymyślała. I tak zamiatalem pięć razy! Prosiłem, błagałem, żeby

mnie już puściła, ale podłoga musiała być idealnie czysta. Robiło się coraz później, a ja dalej sprzątałem. Podłoga już była tak czysta, że wydawało mi się, że czystsza być nie może i że zaraz zacznę zdzierać drzazgi z desek, ale pani Gertung uważała inaczej. Gdy mnie w końcu puściła, zegar na wieży bił dwunastą. Biegłem ile sił w nogach, mało butów nie pogubiłem. Cały czas myślałem tylko o tym, żeby zdążyć. Wypadam zza zakrętu i już widzę wieżyczkę pałacyku. Przyspieszyłem. Biegnę i widzę w uliczce ustawiony aparat, a przy nim pochylonego fotografa. A przed aparatem cała moja klasa – ustawiona ładnie w rzędzie, tylko mnie tam brakuje. Henio, jak mnie zobaczył, zaczął się śmiać. Odwrócił się i pokazał mi... no tę część ciała, co się ma z tyłu. Pokazałem mu język i biegnę dalej. Już prawie dobiegałem, już byłem przy latarni, błysnęło i było po wszystkim. Nie zdążyłem! Usiadłem na krawężniku i patrzyłem, jak fotograf chowa aparat. Pewnie myślał już o tym obiecany rosole z koguta. Ja myślałem tylko o tym, żeby się nie popłakać – głos zdrżał Jasiowi tak niebezpiecznie, że ciotka Elza pogłodziła go po głowie. Chłopiec westchnął i mówił dalej:

– Moja klasa się rozeszła, no i dobrze, bo chyba bym przywalił temu Heniowi... No i tak siedziałem i patrzyłem na targowisko. Pod tą wielką lampą, o którą się wszyscy klócili, jak ją zamontowali, stały sobie wozy i kramy, a ludzie sobie kupowali – jakby nigdy nic, jakby nie wiedzieli, że właśnie zostali uwiecznieni na zdjęciu. Im się udało, a mnie nie! Dwie kobiety w białych sukniach wybierały warzywa i owoce. One będą na zdjęciu – z tyłu, bo z tyłu, ale jednak. Ja nawet plecami nie będę! W głębi było jeszcze sporo osób. Kilka dziewczyn z żeńskiego gimnazjum, jakiś pan z rowerem i pani z wózkiem. Tłumek przechodniów w oddali. Widziałem też pana aptekarza z Apteki pod Koroną. Muchę miał tak odświętną, jakby specjalnie się wyszykował do tego zdjęcia. Obok szedł pomocnik mleczarza – wie ciocia – ten niski z wąsem, trochę taki głupowaty...

– Jasiu! – mama znowu krzyknęła karcąco.

– No szedł ten pomocnik mleczarza, ser niósł, taki wielki biały ser. I nawet ten ser będzie na zdjęciu, a ja nie! Rozumie ciocia? Ser, głupi ser! – Jaś umilkł zupełnie, wpatrzony gdzieś w ścianę. Ciocia pogłodziła go po głowie. – Przyszedłem do domu i wtedy się dopiero

zaczęło! Każdy się pytał, co ze zdjęciem, każdy chciał wiedzieć, a ja każdemu musiałem opowiadać o tym, co teraz cioci. Ot, cała historia zdjęcia, na którym mnie nie ma!

Jaś w milczeniu patrzył gdzieś w dal. Warga drgała mu nerwowo. Widać było, że nie ma już ochoty nic mówić.

– Strasznie to przeżywa – powiedziała ciotka szeptem do Oli, gdy ta weszła do pokoju, niosąc herbatę.

– W piątek nawet do szkoły nie poszedł – przyznała mama równie cicho. – Dziś też. Zawrócił z drogi i powiedział, że nie da rady. Pewnie dlatego, że dzisiaj się ukazuje ta gazeta.

– Zabronił nam ją kupować – rzekł tata.

– Jasiu! Jasiu, nie przejmuj się tak! Za niedługo będziesz się śmiał z tej historii!

– Też mu to powtarzam – dodała mama.

Jaś tylko machnął ręką, niezbyt grzecznie. Mama chciała go znowu skarcić, ale ciotka Elza powstrzymała ją bezgłośnie.

– Jasiu, widzisz, ja kupiłam Proletariusza...

– Ciociu – rzekł Jaś smutno. – Ja już widziałem tę gazetę. Przed sklepem pana Huberta wyłożono całą gablotę. To zdjęcie było na okładce. Widziałem je i wiem, że mnie tam nie ma – zaszlochał cicho.

– Owszem – rzekła spokojnie ciocia. – Zdjęcie bielawskiego placu targowego jest na okładce i tam cię nie ma, ale w środku, przy artykule, jest jeszcze jedno takie zdjęcie i trochę się różni od tego z okładki.

Przewertowała kilka kartek Proletariusza z Gór Sowich i pokazała zdjęcie chłopcu. Ten jednak nie chciał nawet spojrzeć.

– No popatrz! – zachęciła go, ale gdy znowu odmówił, podała gazetę kuzynce.

– Jasiu! – krzyknęła mama rozweselona. – Ciocia ma rację! Jesteś na tym zdjęciu! Tu w samym rogu, biegiesz koło latarni! Zobacz!

Chłopiec nie wytrzymał i zerknął do gazety. Nagle jego twarz się rozpromieniła. Oczy, mimo że nadal mokre od łez, zajaśniały promiennym blaskiem. Dawno niewidziany szeroki uśmiech znów zagościł na buzi Jasia. Nagle wybiegł do przedpokoju i zaczął szybko zakładać kurtkę.

- A gdzie ty się wybierasz? – spytał zdziwiony tata.
- Do sklepu! Może nie wykupili jeszcze wszystkich numerów! Muszę przecież mieć swój własny egzemplarz! Albo dwa! Mamo, mogę?!
- No, idź, idź!

Drzwi trzasnęły i tyle go widzieli. Jaś biegł do sklepu równie szybko, co w ów feralny czwartek na targowisko. W sklepie się okazało, że wszystkie numery są już wykupione, ale chłopiec jeszcze w poprzednią środę zamówił trzy egzemplarze i zupełnie o tym zapomniał. Pan Hubert bardzo się ucieszył, że w końcu przyszedł je odebrać. Jaś ucieszył się o wiele bardziej. Szedł do domu, przyciskając czasopisma do piersi jakby to był jego największy skarb. W gruncie rzeczy jednak miał szczęście i to całkiem spore, bo koniec końców okazało się, że jednak było to zdjęcie, na którym był. I, tak jak mówiła mama i ciocia, już chciało mu się śmiać z całej tej historii.

Zdjęcie

To był pamiętny dzień. Wracałem właśnie z kolegami ze szkoły, gdy usłyszeliśmy jakąś muzykę. Jeden z nich zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać, skąd dochodzą dźwięki. Pomyślałem, że może ktoś w domu puścił sobie muzykę z gramofonu, ale w tej samej chwili uświadomiłem sobie, że mama wczoraj wspominała coś o pikniku. Z jakiej okazji? Nie wiem, ale to było nieistotne. Najważniejsze, że w końcu coś się dzieje na naszym rynku. Powiedziałem kolegom i po kilkusekundowej naradzie zamiast do domu poszliśmy za dźwiękami wesołej, rytmicznej muzyki...

Ale może zacznę od początku.

Mam na imię Michał i urodziłem się tutaj, czyli w Langenbielau, w 1903 roku. Jestem zwykłym dziesięcioletkiem, dość dobrze się uczę, mam wielu kolegów, kilka koleżanek. Mam wady i zalety, chyba jak każdy w moim wieku. Lubię leżeć na swoim łóżku i marzyć o niezwykłej przygodzie. Czasami też pomagam rodzicom w domowych obowiązkach. Bo w końcu wynoszenie śmieci i sprzątanie swojego pokoju uważam za obowiązek.

Czasami myślę, że w moim życiu chyba już nie wydarzy się nic ciekawego. Nuda, nuda i jeszcze raz nuda... Szkoła, lekcje, wiecznie marudzące rodzeństwo. Chciałbym zrobić coś szalonego, coś, czego będą mi wszyscy zazdrościć. Polecieć balonem! Tak, to byłoby coś!!! Unieść się ku górze i poczuć się jak ptak, bez żadnych ograniczeń, obowiązków. Czuć wiatr, ciepło promieni słonecznych i zapach ziemi... Może kiedyś uda mi się zbudować balon i wzbić się w powietrze?

No, ale koniec z marzeniami. Rzeczywistość jest mniej kolorowa. Nauka, jak mówią rodzice, jest najważniejsza, więc zaraz będę musiał wrócić do domu i zająć się odrabianiem lekcji.

Ale wracając do usłyszanej muzyki... Okazało się, że był to pik-

nik, który rozpoczynał odświętny weekend u nas w mieście. Biesiadę sponsorowały głównie zakłady Dieriga, w ramach promocji najwyższej jakości wyrobów bawełnianych. Jak to fajnie mieć tyle pieniędzy! Mógłbym pomóc rodzicom, aby nie musieli tak ciężko pracować. Tato mówi, że jak będę się dobrze uczył i będę uczciwy, to mogę wszystko osiągnąć.

Mam nadzieję, że ma rację, bo w szkole staram się być jednym z lepszych, chociaż jest trudno.

Nikt jakoś nie kwapił się do domu i odrabiania lekcji. Na rynku było fantastycznie. Pachniało dobrym jedzeniem, domowymi ciasteczkami i watą cukrową. Z radości zaczęliśmy krzyczeć tak głośno, że jakiś starszy mężczyzna się odwrócił.

– Cicho! Zachowujmy się – powiedziałem.

Faktycznie, ludzi było mnóstwo, a straganów jeszcze więcej. Na jednych były produkty z zakładów pana Dieriga, a na innych same smakołyki. Biegaliśmy z chłopakami od jednego straganu do drugiego i nie mogliśmy się napatrzeć. Ludzie przechadzali się w eleganckich strojach i z zachwytem w oczach patrzyli na te wszystkie cudenka. Niektórzy z nich coś kupowali, inni zaś tylko oglądali.

– O, patrzcie, tam można w coś zagrać! – zawołał Filip i razem pobiegliśmy w stronę kolorowego namiotu. Było super! Nie mieliśmy nawet kiedy odpocząć, bo zabawa była niesamowita.

Czas jakby się zatrzymał. Wszystko było takie bajecznie kolorowe i dostępne na wyciągnięcie ręki. Kuba, widząc tyle smakołyków, powiedział, że chyba zostanie tutaj do końca biesiady i zje wszystko, co będzie gratisowe. Znając Kubę i jego słabość do słodczy – wszystko było możliwe.

Spojrzałem na zegar i zdębiałem:

– To już ta godzina?! Chłopaki, czas wracać!

Paweł skrzywił się i powiedział:

– No dobra, to wracajmy.

Kiedy już mieliśmy to zrobić, ktoś krzyknął:

– Chłopcy, poczekajcie, zrobię wam zdjęcie!

Był to pan fotograf, który starał się uwiecznić wszystko to, co działo się na naszym festynie. Ustawiliśmy się w szeregu. Byliśmy dumni, że to właśnie my zostaniemy uwiecznieni na tej fotografii.

Szkoda tylko, że nie wszyscy podeszli do tego poważnie. Filip jak zwykle zrobił głupią minę.

– Dziękuję, to wszystko – powiedział fotograf.

Wszyscy zaczęli się śmiać, a ja byłem szczęśliwy, że jestem na zdjęciu razem z moimi kolegami. Wierzyłem bowiem, że ta fotografia przetrwa kawał czasu i kiedyś ktoś za sto lub dwieście lat odnajdzie ją... i będzie wiedział, że istniałem.

Bielawa w latach dwudziestych

To Bielawa w latach dwudziestych. Chłopcy mają krótkie spodenki i długie bluzki, a także kapelusiki, a dziewczynki krótkie spódniczki i też mają długie bluzki. Na tej ilustracji są też dorośli, jest też kościół. Są też stare lampy, stare domy, drzewa i są różne stoiska. Kilka pań trzyma parasole przeciwsłoneczne, a panowie puzony. Droga jest chropowata, a chodniki płaskie. Drzewa są wysokie i grube, są też niskie drzewka. Obok widzę chyba małą kawiarenkę. Nie ma aut ani autobusów, roweru tu też nie widzę. Pośrodku od prawej strony widzę mały domek z kolumnami. Myślę, że ta Bielawa jest trochę spokojniejsza od tej, w której teraz mieszkam. Lecz, jednym słowem, wolę mieszkać w mojej malutkiej terazniejszej Bielawie.

Jakub Wojtanowski

Langenbielau, 30-31.08.1939

Heinz Schuster nie mógł wymarzyć sobie lepszego życia w hitlerowskich Niemczech. Był chłopcem 8-letnim, z burzą jasnych włosów na głowie i upodobaniem do sportu. Miał zadatki na wzorowego członka Hitlerjugend, a w przyszłości idealnego męża i godnego zaufania żołnierza, bo był odważny, obdarzony cechami nordyckiej rasy i, co najważniejsze, przez całe swoje życie nie zadawał się z żadnym Żydem.

Ojciec, Untersturmführer Bruno Schuster, był bardzo szanowaną osobą w Langenbielau, miście rodzinnym rodziny Schusterów i wielkim wzorem dla młodego Heinza. Jego matka, Patricia Schuster, z domu Bergman, była idealnym przykładem kobiety: wzorową żoną i świetnie sprawującą się matką. Obdarzona jasnymi włosami i błękitnymi jak ocean oczami uwiodła w Kolbergu w 1925 roku młodego Anwärtera Bruno Schustera i zaślepiona miłością opuściła rodzinę i zdecydowała się wyjechać ze swoim mężem w głąb kraju, do małego miasteczka pod Breslau. Do Langenbielau. Tam, po ślubie, w 1926 roku urodziła córkę, Margarete, a w 1931 roku syna, Heinza.

Margarete Schuster była starszą siostrą Heinza i zapatrzoną w Hitlera fanatyczką. Marzyła o tym, by kiedyś pracować u boku takich sław jak Joseph Goebbels czy Heinrich Himmler. Na każdej z bluzek miała wyhaftowaną swastykę na znak wierności Hitlerowi i jego reżimowi.

Heinz wiódł więc spokojne życie w Langenbielau, bo wszyscy Schusterowie byli przykładem rodziny, jaką wymarzył sobie Adolf Hitler. Jego ulubionym miejscem w całym mieście był Rynek Główny. Tam spotykał się ze swoimi przyjaciółmi: Hansem, Carlem, Maximilianem, Ottonem, Brigitte i Thesą, którzy go szanowali i uważali za herszta swojej paczki.

Był 30 sierpnia 1939 roku. Jak zwykle, Heinz spotkał się po południu ze swoimi przyjaciółmi na Rynku. Siedzieli na ławce i obserwowali przypadkowych przechodniów. Wtem coś przerwało ich zadumę. Patrzyli na starszego sprzedawcę warzyw, kiedy przyjechała ciężarówka. Heinz już widywał takie ciężarówki. Duża maszyna o kolorze granatowym, z dużą budą z tyłu, okrytą płachtą. Okrążyła rynek i zaparkowała obok ratusza. Z pojazdu wysiadło dwóch ubranych w mundury esesmanów w towarzystwie żołnierzy. Jeden z esesmanów wyciągnął notes i przemówił do reszty:

– Szukamy Joachima i Sary Goldmanów. Jak znajdziecie, wyprowadzić i do budy z nimi.

Żołnierze przytaknęli i weszli do budynku obok. Przyjaciele poderwali się z ławki i podeszli bliżej ciężarówki. Po chwili z budynku wyłonili się żołnierze, ciągnąc za włosy kobietę ubraną w sukienkę w kwiatki i mężczyznę ubranego w elegancki frak. Wpędzili ich do budy, a po minucie z budynku wyszedł drugi esesman, który wyprowadzał małego chłopca. Popchnął go do budy, by rodzice pomogli mu wejść, ale mały potknął się i wypuścił z ręki pluszowego misia. Chciał po niego wrócić, ale żołnierz już zamknął budę. Esesmani wsiedli i ciężarówka odjechała.

Heinz i jego przyjaciele jeszcze przez chwilę stali w miejscu i podążali wzrokiem za oddalającym się pojazdem. Młody Schuster drgnął i podszedł do maskotki. Uklęknął i ujął ją w swoje ręce. Po chwili wrócił:

– Teraz jest moja. Nie muszę się wam tłumaczyć, na co mi ona, ani wy nie będziecie pytać, po co mi to. Zrozumiano? – powiedział nie miło Heinz.

– Zrozumiano – odpowiedzieli zgodnie.

Heinz wrócił do domu późnym popołudniem. Powitał go w drzwiach zapach pieczonej wołowiny i szczęk mytych naczyń.

– Wróciłem! – przywitał się z mamą Heinz.

– Witaj, synku. Myj ręce i do stołu. I zawołaj siostrę.

Posłusznie umył ręce i po tym zapukał do drzwi pokoju Margarete.

– Wejść! – powiedziała. Akurat przyczepiała do ściany plakat Hitlera, tuż obok trzech innych.

– Mama woła do stołu – przekazał wiadomość i wyszedł z pokoju.

Heinz usiadł i zaczął pochłaniać wielki kawał wołowiny. Margarete usiadła obok i zadowalała się sałatką.

Chłopiec rozejrzał się wokół i spytał mamy:

– Gdzie jest tata?

– Musiał zostać trochę dłużej w pracy – odparła matka.

Po 15 minutach w drzwiach pojawił się oficer Schuster. Zdjął czapkę i odłożył ją, umył ręce i zasiadł do stołu obok Margarete.

– Oberschütze Weber powiadomił mnie, że wrócisz dzisiaj trochę później.

– Porządny chłop – skomentował. – Zostałem później, bo miałem dzisiaj proces. Hauptsturmführer Kaiser poprosił, bym się tym zajął.

– Jak się nazywali? – Patricia lubiła wypytywać męża o nazwiska osób z procesów.

– Goldman – odpowiedział.

Heinz ze zdziwienia upuścił widelec. Pospiesznie skończył jeść i odszedł do pokoju. Wyciągnął maskotkę chłopca.

„A co, jak nie uda mi się oddać mu tego? Hej, zaraz! A od kiedy ja lubię oddawać coś lub pomagać Żydom?” – Heinz zaczął toczyć walkę ze swoim sumieniem. Wtedy usłyszał rozmowę rodziców i podszedł do uchylonych drzwi.

– To co się z nimi stanie? – spytała męża pani domu.

– Dla takich jak oni nie ma łaski – zaczął mówić ojciec. – Jutro jadą na rozstrzelanie.

– A dziecko?

Oficer wziął głęboki wdech i odpowiedział:

– Dla Żydów nie ma litości. Nawet dla dzieci.

Heinz odszedł od drzwi i opadł na łóżko. „Czyli nie oddam mu tego. Tym lepiej!” i cisnął maskotkę w kąt, do śmietnika. Lecz sumienie nie pozwalało mu zasnąć.

Następnego dnia przy śniadaniu Schusterowie mieli niespodziewanego gościa. Był to sam Hauptsturmführer Kaiser z przyczesanymi włosami i niezwykle oryginalnymi wąsami.

– Heil Hitler! – wykrzyknął. Uścisnął rękę Brunonowi, ucałował rękę gospodyni i pogłaskał po głowach dzieci.

– Przychodzę w pewnej bardzo pilnej sprawie. Oficerze, musimy porozmawiać... w cztery oczy.

Patricia zaprowadziła ich do pokoju gościnnego. Sama zaczęła sprzątać po śniadaniu, a Margarete wróciła do pokoju oblepić ściany plakatami, więc na Heinza nikt nie zwracał uwagi. Po cichu podszedł do drzwi i zaczął podsłuchiwać.

– Schleswig-Holstein zaatakuje polską bazę na Westerplatte jutro rano, o godzinie 4.45 – powiedział Kaiser. – Dzisiaj przemaszeruje też Wehrmacht i uda się na polską granicę. Stalin zaatakuje za dwa tygodnie. Jutro rano również będzie leciało Luftwaffe i skieruje się na polskie miasto Wieluń.

– Rozumiem – odparł Schuster.

– To tyle. Trzeba iść do biura. Idzie pan ze mną?

– Oczywiście.

Heinz szybko odbiegł od drzwi i obserwował przez okno, jak jego ojciec i Herr Kaiser idą do biura. On również wybiegł z domu na Rynek, by spotkać się z przyjaciółmi.

Kiedy spotkał się ze swoją paczką, zaczął opowiadać o procesie Goldmanów.

– Niezła heca, mówię wam. Wyprowadzili ich i podobno dzisiaj mają ich rozstrzelać. Dzieciaka też.

– Racja – odparł Otto. – Dla zdrajców nie ma litości. A, że się odważę spytać, co zrobiłeś z tą maskotką?

Gdy tylko Otto zadał mu pytanie, Heinz zadumał się. Znów obudziło się w nim coś, z czym zaczął walczyć: sumienie.

– Halo, Heinz! – zawołał Carl. – Ziemia do Heinza! Co ci się stało? Czyżbyś polubił Żydów?!

Gdy tylko to usłyszał, rozgorzała w nim wściekłość. Zdusił swoje sumienie jakby zgasił świeczkę i zaczął mówić podniesionym głosem.

– Słuchać mnie, hołoto! Niech żadne z was nie myśli sobie, że zadaję się z tymi oszustami. Jestem dumnym nazistą, zwolennikiem Hitlera i, co najważniejsze, zagorzałym przeciwnikiem Żydów. Doszło to do waszej wiadomości?! – zapytał z irytacją.

Kiwnęli, zmieszani, głowami. Wtedy poczuli drganie ziemi.

– Co to jest? – zapytał młody Schuster. Wszyscy mieszkańcy zgromadzili się wokół ulicy. Oni też tam podbiegli. To, co zobaczyli, na zawsze zapisało się w ich pamięci. Wehrmacht.

Dumni nazistowscy żołnierze z karabinami maszerowali przed siebie, na polską granicę. Gotowi walczyć za Hitlera, za Niemcy. Kiedy przemarsz się zakończył, Heinz pożegnał się z kolegami i udał się do domu. Został mamę odpoczywającą przy stole ze szklanką herbaty.

– Mamo, mamo, widziałem defiladę Wehrmachtu! – wykrzykiwał.

– Naprawdę? – odparła z niedowierzaniem pani Schuster.

– Tak, maszerowali na polską granicę! Ciekawe, czy tata to widział?

1 września 1939 roku, godzina 4.20. Heinza obudził potężny hałas. Otworzył okno swojego pokoju i wyrzał przez nie. Spojrzał w górę i ujrzał Luftwaffe, samoloty lecące w stronę polskiej granicy. Majestatyczny widok i potężny ryk silników samolotów. Ojciec chłopaka również wyrzał przez okno. Wymamrotał coś pod nosem, ale tego już Heinz nie usłyszał. A ojciec powiedział: „Zaczyna się Fall Weiss”. 22 minuty później bomby spadły na Wieluń, a Schleswig-Holstein zaatakowało Polaków na Westerplatte. Rozpoczął się największy konflikt w historii świata, a Heinza Schustera już nigdy nie męczyło sumienie.

Nasza ławeczka

Nareszcie! Dzisiaj był ostatni dzień w szkole! Jutro jeszcze tylko apel na zakończenie IV klasy i witajcie, wakacje!

Razem z chłopakami po skończonych lekcjach postanowiliśmy pójść na nasz piękny bielawski rynek i omówić plany na wakacje. Uwielbiamy spędzać czas na naszym rynku. Jest tam zawsze dużo ludzi, gwarno wszędzie, z każdego rogu dochodzi do nas śmiech. Szczególnie lubimy obserwować małe dzieci, jak biegają po rynku, zaczepiają przechodniów, szarpiają ich za ubrania i uciekają szybko do rodziców. My przecież byliśmy tacy sami! Tomek, mój najlepszy kolega, zawsze powtarza:

– Popatrzcie na te urwisy! Pamiętacie, jak jeszcze kilka lat temu my sami tak się bawiliśmy? Ale było wesoło!

Nadal jest wesoło! Z chłopakami znamy się od urodzenia i odkąd pamiętamy, całe dni spędzamy razem. A że wszyscy urodziliśmy się w Bielawie, w niej mieszkamy i się uczymy, to jest to dla nas bardzo szczególne miejsce. A zwłaszcza rynek.

Każdego dnia, wracając ze szkoły i przechodząc przez niego, siadamy na ławce (ileż ta ławeczka zna naszych sekretów!) i rozmawiamy, rozmawiamy i rozmawiamy. Czasami próbujemy policzyć wszystkich ludzi, którzy nas omijają, jednak zwykle przy sto pięćdziesiątej osobie się gubimy! I wtedy śmiejemy się, że nasza pani od matematyki nie byłaby z nas dumna! I tak też było dzisiaj.

Nasz rynek po prostu tętni życiem! Ludzie są tacy uśmiechnięci, niezabiegani, rozmawiają ze sobą, stojąc przed straganami, które znajdują się dookoła rynku. Zakochani, tak jak my, siadają na ławeczkach i przytuleni szepczą coś między sobą. Widać, jak wszyscy się cieszą chwilą spędzoną z dala od obowiązków domowych, od szkoły czy pracy.

A my? My czujemy się wolni i szczęśliwi. Snujemy plany na wakacje, opowiadamy, jak minął nam rok szkolny, wspominamy jak to

Tomek zakochał się w Kasi (jest przy tym kupa śmiechu!) i zastanawiamy się, jak będzie w V klasie. Wiemy, że większość wakacji spędzimy w Bielawie, na naszej ukochanej ławeczce na rynku. Jednak wcale się nie smucimy, bo Bielawa to nasza mała ojczyzna, którą kochamy, a plac Wolności (bo tak się nazywa rynek) to najpiękniejsze miejsce naszego dzieciństwa!

Bielawski rynek tętni życiem

Dawno, dawno temu w miejscowości Bielawa, położonej między górami i lasami mieszkała wielodzietna rodzina składająca się z ośmiu braci oraz rodziców. Tamte czasy były bardzo ciężkie. Rodzice musieli całymi dniami pracować, by zarobić na chleb dla swoich dzieci. Mimo ciężkiej pracy i tak czasem chodzili spać głodni. Rodzina mieszkała w samym centrum, w rynku, naprzeciwko fontanny, w bardzo zniszczonej kamienicy. Chłopcy całymi dniami bawili się przy fontannie i znali każdy zakamarek rynku. Byli bardzo uprzejmi i grzeczni, z chęcią pomagali przechodniom, dbali o porządek w centrum i uśmiechali się. Wszyscy ich znali i mówili o nich, że są dobrze wychowani.

Pewnego dnia bracia pomogli starszemu panu przy układaniu kostki brukowej oraz przy sadzeniu drzew w centrum Bielawy. Pracowali ciężko kilka dni. Za pomoc starszy człowiek podarował każdemu po instrumencie muzycznym. Były to flet, gitara, skrzypce, harmonijka, mandolina, katarynka, klarnet i akordeon. Bracia byli bardzo zadowoleni ze swojej zapłaty. Każdego dnia po obiedzie siadali koło fontanny, śpiewali i uczyli się grać. Początki były bardzo trudne, ale rodzeństwo było wytrwałe i nie poddawało się. Mimo że nadeszła zima, oni nadal spotykali się i zawzięcie tworzyli muzykę. Słychać było, jak z każdym dniem coraz ładniej grają. Przechodnie zatrzymywali się, by ich podziwiać oraz słuchać. Mówili, że ich muzyka wpada w ucho, że nogi same rwą się do tańca.

Rynek w Bielawie dzięki chłopcom zaczął się rozwijać i był pełen gości. Bracia grali już tak ładnie, że mówiono o nich w innych miastach. Zrobili się sławni i każdy chciał posłuchać ich muzyki. Byli zapraszani na koncerty i wesela, rozbawiali wszystkich. Ludzie z chęcią dawali im pieniądze. Muzyka stała się ich pasją, kochali grać, sprawiało to wielką radość im oraz wszystkim wkoło. Rodzice byli z nich bardzo dumni.

Od tamtej pory rodzinie nie brakowało już nigdy na chleb. Chłopcy za pierwsze zarobione pieniądze wyremontowali swoją białą kamienicę. Pomagali również ubogim. Organizowali występy na rynku, tańce. Wszyscy się spotykali i spędzali miło czas, przy tańcach i pięknej muzyce. Dzięki braciom rynek w Bielawie każdego dnia tętnił życiem od rana aż do samego wieczora...

Chytry plan

Jestem Rumpel-Pumpel, moja mama była elfem, a tato skrzatem – to po nim odziedziczyłem charakter. Nigdy nie myślałem, że dożyję chwili (choć jestem nieśmiertelny), kiedy będę zmuszony wyprowadzić się z Bielawy. Aż tu nadszedł rok 1924 i już niedługo, pierwszego maja, Bielawa uzyska prawa miejskie. Już teraz panuje ciągły gwar, tumult i nie mam ani chwili spokoju.

Kiedy na początku XVII w. osiedliłem się w podziemiach pałacu Sandreckich, nie musiałem ukrywać się na każdym kroku i uważać, żeby nikt mnie nie zobaczył. Odkąd powstały fabryki włókiennicze było coraz gorzej, ale kiedy nadeszły lata dwudzieste XX w., zrobiło się nie do zniesienia. Co rusz a to nowe przędzalnie, a to drukarnia, a to remiza albo wieża ciśnień. W Bielawie mieszka już prawie 18 tys. ludzi, a w dni, kiedy na rynku jest targ, w ogóle nie wychodzę. Muszę coś z tym zrobić, tak nie może być! Ale mam plan. Wypatrzyłem z ukrycia, że w dzień targowy chłopcy z gimnazjum często uciekają na rynek, na wagary. Oglądają stragany, zaglądają w każdy kąt. Zwabieni zapachem zawsze podchodzą do kramu z pieczywem – bułeczki i precelki tak cudnie pachną.

Właśnie czekam, przebrany za piekarczyka (wszyscy myślą, że jestem wąsatym karzełkiem). O! Już widzę, nadchodzą. Zaraz podejść do nich ze ślicznie wypieczonymi rogalikami i zwabię ich do jaskini w lesie. Potem wyślę list do władz wsi i postawię ultimatum: albo zrezygnują z praw miejskich, albo młodzi wagarowicze nie wrócą do domów. Teraz! Idą! Muszę biec!

Ałaa... boli! Jak mogłem nie zauważyć tego przekłętego samochodu! Chyba mnie potrącił! Nade mną zebrał się już tłum ludzi. Chcą mi pomóc. Ktoś pobiegł po lekarza ze szpitala. Niech piorun trafi „złote lata dwudzieste”! Choć muszę przyznać, iż nie myślałem, że będę wdzięczny za odkrycia medyczne.

PS.

Świat nabiera barw, także złotej.

Co dwa kolczyki, to nie jeden

– Dobrze, dzieci, jutro proszę przynieść jakiś stary przedmiot. Na dzisiaj to wszystko. Do widzenia.

Tak! Wreszcie koniec lekcji! Po ośmiu godzinach nauki miałam już dość. Poszłam do szatni, a potem jak najszybciej do domu, z nadzieją, że mama ugotowała coś dobrego, co szybko postawi mnie na nogi.

– Cześć, mamo! – zawołałam, gdy weszłam do domu.

– Cześć, kochanie.

– Co dziś na obiad?

– Gołąbki!

Miałam ochotę podbiec do mamy i z całego serca jej podziękować. „Jednak dzisiejszy dzień nie jest taki zły, skoro dziś na obiad są gołąbki” – pomyślałam. Jedząc posiłek, powiedziałam mamie, że muszę na następny dzień przynieść do szkoły jakiś stary przedmiot.

– W domu nie mamy nic odpowiedniego. Jutro rano dam ci pieniądze i pójdziesz na targ. Na pewno będą tam jakieś starocie.

Byłam zachwycona pomysłem mamy. Uwielbiam chodzić na targ! Ten gwar... Nie wiem dlaczego, ale zawsze mi się to podobało.

Następnego dnia poszłam na targ. Każdy przeglądał tam jakieś ubrania czy inne rzeczy. Ja, pierwsze co, udałam się na stoiska ze starymi przedmiotami. Oglądałam wiele dzbanków, lamp, a nawet różnych odznak wojskowych, moją uwagę przykuł jednak pozłocany kolczyk w kształcie pawiego oka. Miał on jeden zielony kamień przypominający szmaragd. Gdy go podniosłam, zauważyłam napis: „By uciec, potrzeba jednego, by wrócić dwóch”. Zignorowałam to, gdyż pewnie poprzedni właściciel wrył na nim swoje motto czy coś innego.

– Przepraszam, gdzie jest drugi kolczyk? – spytałam sprzedawcę.

– Nie mam go. To biżuteria mojej mamy. Sprzedam ci go za połowę ceny. Co powiesz na 10 zł?

Długo się nie zastanawiając, wyjęłam pieniądze z kieszeni i zapłaciłam. Co prawda miałam go zanieść do szkoły, ale nie mogłam się powstrzymać, by go założyć. Był dość ciężki, co sprawiło, że gdy wkładałam go do ucha, czułam się jak księżniczka. Chciałam zapytać sprzedawcę, jak wyglądam, jednak poczułam się, jakby ziemia pode mną się zapadała. Spojrzałam w dół i rzeczywiście: nie miałam gruntu pod nogami.

– Pomocy! – krzyczałam, lecz po chwili wszyscy, którzy byli obok mnie, zniknęli. Zamknęłam oczy i zaczęłam się modlić. Po chwili poczułam pod nogami „stały ład” – stałam na kostce brukowej, a wkoło mnie chodzili ludzie. Tak jak na targu. Tylko to nie był ten sam targ. Byłam wystraszona, ale jednocześnie zachwycona. Życie, które się tam toczyło, było jakieś „inne”. Zdziwiłam się, gdyż było tam mnóstwo młodych chłopców, którzy przecież zazwyczaj siedzą w domu z oczami wpatrzonymi w ekran telewizora lub komputera. Postanowiłam się rozejrzeć.

„To miejsce jest podobne do bielawskiego rynku. Nie! To jest bielawski rynek! Tylko trochę zmieniony” – pomyślałam. Obeszłam go wkoło, szukając kogoś znajomego. Nie pamiętam, kiedy ostatnio widziałam tylu ludzi na rynku. Wszyscy byli dziwnie poubierani. Każda pani miała na sobie spódnicę lub sukienkę. Chyba tylko ja miałam na sobie dżinsy. Uwagę przyciągał również karzełek, który krzyczał coś o nowych materiałach. Latarnie były bardzo wysokie. Nie przypominam sobie, by wcześniej takie były. Rozpoznałam za to większość budynków, które stoją także na „moim” bielawskim rynku. Po pewnym czasie bezowocnego szukania podeszłam do jednej pani:

– Który dzisiaj jest? – spytałam.

– 19 czerwca – odpowiedziała.

„Hm, to by się zgadzało”.

– A który rok? – to pytanie było bezsensowne, lecz musiałam je zadać.

– 1923, kochaniutka.

„Co?! To niemożliwe, czyżbym przeniosła się w czasie?”. Chciałam gdzieś usiąść i wszystko przemyśleć. Zauważyłam ławkę, która stała przed sklepem znajdującym się w samym centrum. Gdy po-

deszłam, dostrzegłam na drzwiach sklepiku ten sam napis, co na moim kolczyku. Postanowiłam to sprawdzić i weszłam do środka. Wnętrze było bardzo ciemne. Oświetlona była jedynie kobieta, mająca na sobie mnóstwo wisiorów i bransolet.

– Dzień dobry – powiedziałam.

Niestety, nie odpowiedziała mi. Po dłuższej chwili chyba zauważyła, że przed nią stoję. Spojrzała na mnie i powiedziała:

– Pospiesz się, dziecko. Musisz znaleźć drugi kolczyk i jak najszybciej wrócić, skąd przybyłaś.

W jednej chwili na język cisnęły mi się tysiące pytań typu „Skąd ona wie, że mam kolczyk?”. Jej słowa co prawda nie były jednoznaczne, jednak z łatwością zrozumiałam, że to przez ten kolczyk znalazłam się tu i muszę odszukać drugi, by znaleźć się tam, gdzie moje miejsce.

– Ma pani dla mnie jakieś wskazówki?

– Mały przedmiot zawsze będzie w posiadaniu małego człowieka... „Karzeł” – pomyślałam i wybiegłam ze sklepu.

Małą postać nietrudno było znaleźć, ponieważ ta mała osóбка donośnie krzyczała, zachwalając materiały.

– Masz drugi kolczyk? – podbiegłam i spytałam go.

Ten, spojrzawszy na moje ucho, dał mi poszukiwany przeze mnie przedmiot. Założyłam kolczyk od karzełka i znów stało się to, co wtedy na targu: ludzie, bruk i budynki zniknęły i znowu stałam przed sprzedawcą staroci.

– Coś jeszcze? – spytał.

– Nie, dziękuję – zdjęłam kolczyki i poszłam do szkoły.

Spis treści

Poezja

Filip Bajron, Pewien dzień... Zwykły dzień...	7
Małgorzata Baranowska, Bielawa kiedyś i dziś	8
Michał Bokota, Ulotne chwile	9
Jakub Bronk, Złote lata dwudzieste	10
Łukasz Budziszewski, Wiersz o Bielawie	11
Ryszard Chereźniak, Bielawska wiosna	12
Klaudia Chudzik, Ku wyobraźni	13
Bartosz Działo, Czas	16
Oliwia Fedko, 1924	17
Agata Golczewska, Plac	18
Maria Grabowska, Powiedz mi, wieczności	19
Celina Gziut, Karta historii	20
Amelia Jakubowicz, Piękno złotych wspomnień	21
Emilia Jankowska, Podziękowanie z przyszłości	22
Maria Jaworska, Szczęśliwi nieszczęśliwcy	23
Kacper Kudyba, Bielawa moje miasto	24
Szymon Kuriata, Na rynku	25
Julia Kurzawa, My, chłopcy	26
Gracjan Leśniak, Wspomnienie	27
Agnieszka Letniowska, Bielawa jakiej już nie ma...	28
Igor Machowski, Nieznajomi	30
Maria Maciejewska, (Nie) Zdążyć?	31
Alina Małaszek, Chłopcy	32
Aleksandra Matejczuk, Sens życia	33
Katarzyna Mazur, *** [Proszę, zamknij oczy]...	34
Hanna Mizerska, Magia zdjęć	35
Maciej Henryk Modzelewski, Plac Wolności w Bielawie. Historie zatrzymane	37
Zuzanna Oboza, Moje miasteczko	39
Krzysztof Pasek, Stara fotografia	40

Irena Piekarz, *** [Przymykam oczy]...	41
Anna Piliszewska, Bielawskie latarnie	42
Wiktoria Puch, Bielawski rynek	43
Wiktoria Raszewska, Bielawska sielanka	44
Magdalena Rewicka, Złote lata	45
Karolina Rochna, *** [Stare zdjęcie Bielawy]...	46
Izabela Sędziwa, Dawna Bielawa	47
Szymon Sobczyński, Pod okiem sowy	48
Paweł Sowa, Bielawska sowa	50
Bartosz Telesiewicz, Wspomnienie	51
Amelia Ubych, Bielawskie dzieci	53
Angelika Warchoł, Rynek w Bielawie	55
Julia Wasylów, Na bielawskim rynku	56
Julia Wąsowicz, *** [Ośmiu chłopców tu]...	57
Oliwia Wodzińska, Sielankowy nastrój	58
Stanisław Wojnar, Przejrzeć czas... ..	59
Jakub Wróbel, Złote lata Bielawy... ..	60
Michalina Zawłocka, *** [Bielawa, ach, Bielawa!]...	61

Proza

Jakub Bielawski, Marktplatz	65
Barbara Bulerska, Mimo wszystko mam przyjaciół	71
Wiktoria Byczek, Spacer do przeszłości	76
Anna Chlebica, Moje miasto jest dla mnie domem	80
Nadia Krasieńska, Targ	81
Kornelia Krawiec, Przygoda z czasem	82
Maksymilian Krawiec, Wspaniały dzień	84
Marcin Kroban	86
Marta Kuliś	87
Wiktoria Kwiatkowska, Krasnoludkowe przygody klubu Bielawiaki	89
Alan Leśkiewicz, Przejazd przez Bielawę	92
Adrian Łużyński, Pierwsze zdjęcie naszej drużyny	96
Maciej Maciejewski, Zakłęci w czasie	97
Aleksandra Morawiecka	99
Aleksandra Morawska, Przygody Leona i paczki	101

Julia Nęzi, Najlepsi przyjaciele	105
Maja Plak, Pieniądze w mieście Langenbielau	107
Tomasz Poborczyk, Historia o bohaterskim chłopcu	115
Kamila Rochna, Zakończenie	117
Aleksandra Rosa, Bielawski rynek	126
Zuzanna Smaga, Dziwny sen	127
Alicja Stachurska, Zdjęcie z gazety	129
Klara Surygała	130
Mateusz Szewczyk, Weekendowa podróż w czasie	131
Malwina Szumilas, Powrót do przyszłości	132
Bożena Tomaszek, Zdjęcie, na którym mnie nie ma... ..	137
Angelika Warchoł, Zdjęcie	142
Nela Wiśniewska, Bielawa w latach dwudziestych	145
Jakub Wojtanowski	146
Kacper Woźnicki, Nasza ławeczka	151
Mateusz Zawalski, Bielawski rynek tętni życiem	153
Barbara Zawrotniak, Chytry plan	155
Tatiana Zawrotniak, Co dwa kolczyki, to nie jeden	157

W serii *Sudecka poezja i proza* dotychczas ukazały się:

- *Sudecka poezja i proza I, I Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2013.
- Ryszard Mierzejewski, *Sudecka poezja i proza II, Zraniony różą*, Bielawa 2013.
- Urszula Kowalewska, *Sudecka poezja i proza III, Warkocze*, Bielawa 2013.
- Jan Sitnik, *Sudecka poezja i proza IV, Wspomnienia z Kosowa Huculskiego*, Bielawa 2013.
- Marek Cieśla, *Sudecka poezja i proza V, Im...*, Bielawa 2013.
- Zygmunt Iwaszkiewicz, *Sudecka poezja i proza VI, Vanitas*, Bielawa 2013.
- *Sudecka poezja i proza VII, II Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2013.
- Zdzisław Maciejewski, *Sudecka poezja i proza VIII, Pejzaże sowiogórskie*, Bielawa 2014.
- Adam Lizakowski, *Sudecka poezja i proza IX, Bielawa Randka Trzech Sylab*, Bielawa 2014.
- *Sudecka poezja i proza X, Bielawa lekcja historii na murze*, Bielawa 2014.
- Tadeusz Żurawek, *Sudecka poezja i proza XI, Zaśpiewam ci pieśń*, Bielawa 2014.
- *Sudecka poezja i proza XII, III Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2014.
- Maria Grabowska, *Sudecka poezja i proza XIII, Kalejdoskop barw*, Bielawa 2015.
- Roman Styrzcz, *Sudecka poezja i proza XIV, Opowiadania myśliwskie*, Bielawa 2015.
- Stanisław Wojnar, *Sudecka poezja i proza XV, Osiodłane myśli*, Bielawa 2015.
- *Sudecka poezja i proza XVI, IV Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2015.

- Adam Lizakowski, *Sudecka poezja i proza XVII, Dziennik pieszycki*, Bielawa 2016.
- Barbara Bulerska, *Sudecka poezja i proza XVIII, Kartki z kalendara*, Bielawa 2016.
- *Sudecka poezja i proza XIX, V Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2016.
- Stanisław Wojnar, *Sudecka poezja i proza XX, Mortum urbi*, Bielawa 2017.
- Weronika Karwacka, *Sudecka poezja i proza XXI, Młodzi gniewni*, Bielawa 2017.